

wysokieobcasy

wyborcza

MARIA EJCHART
I SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM

Młodym *nie jest* wszystko jedno

– rozmowa Moniki Tutak-Goll

Ach, ta młodzież

JOANNA
WRÓŻYŃSKA



Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie... Nadto przekonany jestem, że tylko edukacja publiczna zgodnych i dobrych robi obywateli” – napisał hetman Jan Zamoyski w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej w 1600 r. Minęło ponad czterysta lat i pierwsze zdanie wciąż jest tak samo ważne. Nie zbudujemy świadomego społeczeństwa obywatelskiego, nie wychowamy kontestujących decyzje władzy, punktujących jej hipokryzję i szanujących inność dorosłych, o ile nie nauczymy ich tego, kiedy będą dorastać. Czy dzisiejsza „edukacja publiczna”, o której pisał Zamoyski, im to zapewni? Nie. Fatalna, szkodliwa reforma edukacji ministra Przemysława Czarnecka być może „robi zgodnych obywateli”, ale istotą postępu i zmian jest niezgoda, zadawanie pytań i samodzielne myślenie.

Wchodzące właśnie w dorosłość pokolenie Z dostało łatką roszczeniowego, wygodnickiego i niezainteresowanego obroną odbieranych mu praw i przywilejów. To, jak się okazuje, opinia krzywdząca i nie do końca prawdziwa. Przekonują o tym Sylwia Gregorczyk-Abram i Maria Ejchart, które w tym numerze „Wysokich Obcasów” opowiadają Monice Tutak-Goll o swoich

doświadczeniach ze spotkań z młodzieżą. Gregorczyk-Abram i Ejchart wraz z ponad pół tysiąca innych prawników, na własny koszt, odwiedzają polskie szkoły – te w największych miastach, ale i te w niewielkich miejscowościach, w miastach rządzonych przez Koalicję Obywatelską i w matecznikach PiS-u – i rozmawiają z uczniami. Bo, jak przekonują, polska szkoła „nie uczy, jak być świadomym obywatelem”, a z ich obserwacji wynika,

Istotą postępu i zmian
jest niezgoda,
zadawanie pytań
i samodzielne myślenie

że młodzież wcale nie jest na to obojętna. Ma też wiele pytań. Jakie prawa ma nauczyciel, czego może im zabronić, a czego nie? Czy dziewczyny powinny mieć takie same możliwości jak chłopaki? Pytają też szerzej – o demokrację, granice wolności w internecie, zachowanie wobec policji, sprawy społeczne i światopoglądowe. Interesują się tym, co dzieje się w Polsce i na świecie.

Młodzież, która odbierze lekcję społecznej świadomości, wyrośnie na dorosłych, którzy będą umieli oddzielić prawdę od fake newsów i podjąć samodzielną decyzję. Takich dorosłych, jakich boi się każda autorytarna władza. ♦

Młodzież, która odbierze lekcję społecznej świadomości, wyrośnie na dorosłych, którzy będą umieli oddzielić prawdę od fake newsów i podjąć samodzielną decyzję. Takich dorosłych, jakich boi się każda autorytarna władza. ♦

Joanna Wróżyńska – dziennikarka działu kultura, redaktorka „Wysokich Obcasów”



„WYSOKIE OBCASY EXTRA”

Jak się kochamy?

Zadęrczona artystka, odważna feministka czy specjalistka od budowania wizerunku. Bohaterką okładki jest Frida Kahlo. Zastanawiamy się, kim była naprawdę dzisiejsza ikona kultury. Tematem numeru jest współczesna miłość. Ponieważ miłość należy zdefiniować na nowo, szukamy odpowiedzi na pytanie: jak się dziś kochamy? O swoich związkach opowiadają Maciej Sierczyk, Agnieszka Graff i Michał Piróg. Edukator seksualna dr Alicja Długolecka tłumaczy, że granice naszej seksualności się rozmywają, a orientacja to często kwestia emocji. Wydanie dostępne również z kosmetykiem w prezencie. Egzemplarz z darmową dostawą zamówisz na prenumerata24.pl

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska,
Marta Rozenbajgier,
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Paweł Bajer,
Łukasz Irzyk,
Mariusz Rosa

PRODUKCJA:
Dorota Jezerska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk,
Anna J. Dudek, Magdalena Keler,
Agnieszka Mularczyk, Katarzyna
Seller, Magdalena Stroka-Felicka,
Paula Szewczyk, Natalia Waloch,
Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Aleksandra Mijakoska-Siemion,
Anna Woźniak

KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska

SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Bartosz Hojka

WYDAWCA:
Agora SA
BUSINESS OWNER:
Katarzyna Owczarek
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTORKA BIURA REKLAMY:
Joanna Kwas
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:
Michał Bauer

SPECJALISTI DS. PROMOCJI:
Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I DRUK:
Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 9, 40 zamieszczony
jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 25 (1244)

NA OKŁADCE:
MARIA EJCHART I SYLWIA
GREGORCZYK-ABRAM
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL



Knowledge at work.



 **MITSUBISHI
ELECTRIC**
Changes for the Better



Klimatyzacja dla Twojego komfortu



mitsubishi-les.com



Seria MSZ-LN dostępna
w 4 wariantach kolorystycznych

MARIA EJCHART,
SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM

Pokolenie *otwartych* *głów*

Co, gdy zatrzyma mnie policja? Czy nauczyciel ma prawo zabrać mi telefon? Młodzi chcą znać swoje prawa. I nie dadzą się zamknąć w politycznej szufladzie





MARIA EJCHART

- prawniczka, koordynatorka Komitetu Obrony Sprawiedliwości (KOS). Współzałożycielka inicjatywy Wolne Sądy. Związana z Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Prezeska Stowarzyszenia im. Profesora Zbigniewa Hołdy

SYLWIA GREGORCZYK- -ABRAM

- adwokatka oraz działaczka społeczna. Współtwórczyni Komitetu Obrony Sprawiedliwości i Wolnych Sądów, laureatka Złotego Paragrafu w kategorii najlepszy adwokat w Polsce

Z SYLWIĄ GREGORCZYK-ABRAM I MARIĄ EJCHART
ROZMAWIA MONIKA TUTAK-GOLL
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

m

„Młodzi są roszczeniowi”, „Nie interesuje ich demokracja”, „Nie chodzą na protesty”, „Siedzą tylko na TikToku i scrollują”. To powszechne opinie o polskich nastolatkach i 20-latkach. Słyszaliście je na pewno.

SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM: Wielokrotnie. I się z nimi nie zgadzamy. Mamy zupełnie inne doświadczenia. To nieprawda, że młodzież siedzi tylko na Instagramie i robi dzióbki. Wierzę w polską młodzież, tak jak wierzę w polskich nauczycieli. To mit, że wszyscy są konformistami i boją się ministra Czarnka. Będę ich bronić, bo wiem, że nauczyciele chcą dla swoich uczniów znacznie więcej. Walczyli i walczą o wolną szkołę. Rozsądny nauczyciel nie da się zamknąć w politycznej szufladzie. Ani rozsądny uczeń.

MARIA EJCHART: Wszyscy wokół od lat wiemy, że najważniejszą rzeczą jest obywatelska edukacja młodzieży, zastanawiamy się, jak z młodymi rozmawiać, jak do nich trafić, jak znaleźć odpowiedni język, by mówić o prawie i demokracji. Ale programowo niewiele za tym idzie. Szkoła nie uczy, jak być świadomym obywatelem.

Postanowiliście coś z tym zrobić. Wymyśliście, że zainteresujecie młodzież prawem i konstytucją. Że do niej traficie. W ciągu ostatnich 10 lat odwiedziliście tysiące polskich szkół w ramach Tygodnia Konstytucyjnego. Właśnie skończyliście kolejną edycję. Wypaliło?

S.G.A.: W tym roku do Tygodnia Konstytucyjnego zgłosiło się prawie tysiąc sto szkół. To absolutny rekord. To około stu tysięcy uczniów, z którymi można było porozmawiać o tym, co ważne. Z roku na rok przybywa szkół, które się do nas zgłaszają.

Im większa opresja władz, tym większy opór?

M.E.: Tym większa potrzeba, by rozumieć rzeczywistość prawną i znać swoje prawa. Kiedy zaczynałyśmy, nie miałyśmy pojęcia, czy ta akcja w ogóle się powiedzie. Czy szkoły będą nas zapraszały? Czy dołączą do nas inni prawnicy? Jak to zorganizować? Pierwsze pomysły spisywałyśmy na kartkach papieru, serwetkach, nie miałyśmy na to żadnych pieniędzy. Zaczęłyśmy w bardzo prosty sposób – wysłałyśmy zaproszenia do wszystkich szkół w Polsce i zaproszono nas na zajęcia. Okazało się, że odzew jest nieprawdopodobny.

Ile szkół wtedy odpowiedziało?

S.G.A.: Dwieście! Myślałyśmy, że w 2015, 2016 roku szkoły będą się bały. Miałyśmy rację, bo po pierwszej edycji natychmiast nastąpił na nas atak prawicowych mediów, polityków, kuratorów, straszenie szkół, że to żadna lekcja o konstytucji, tylko polityczna agitka. „Nasz Dziennik” poświęcił nam całą rozkładówkę. To był czas, kiedy wymiar sprawiedliwości jeszcze jakoś funkcjonował. Nikt nie podejrzewał, co wydarzy się później. Zaczynałyśmy wtedy, gdy odbywały się pierwsze demonstracje przed Trybunałem Konstytucyjnym. Miałyśmy refleksję, że ludzie w ogóle nie wiedzą, czym jest Trybunał. Że nie wie tego młodzież.

Pomyślaliście, że trzeba nadrobić te zaległości i im o tym opowiedzieć.

M.E.: Pierwsza edycja była poświęcona właśnie Trybunałowi Konstytucyjnemu. Wybrałyśmy przykładowe wyroki Trybunału, które wydawały nam się ciekawe i zrozumiałe dla młodzieży, dotyczące np. tego, czy państwo powinno pokrywać koszty studiowania na drugim kierunku studiów. Scenariusz lekcji opierał się na warsztacie praktycznym.

Poszliśmy z nim do szkół. I byliśmy miło zaskoczone. Młodzi chcą rozmawiać o prawie.

Jak ich przekonaliście?

S.G.A.: Nie musiałyśmy specjalnie przekonywać, oni pytają, dużo pytają. Od początku wiedziałyśmy, że to nie może być wykład, tylko partnerska rozmowa. My przychodzimy uczyć się czegoś od uczniów, oni uczą się od nas. Podstawą zajęć są przykłady z życia, to one poruszają młodych najbardziej.

O co pytają?

M.E.: O wszystko, co wiąże się z ich rzeczywistością. O kontakty z policją, o posiadanie narkotyków, o ich prawa podczas zatrzymania. Pytają o sprawę Igora Stachowiaka, który zmarł w komisariacie policji, bardzo ich ta sprawa poruszyła. Może rozmawiali o niej w domach, słuchali rozmów dorosłych, coś tam wiedzą z mediów. Ale nie mają narzędzi, by to interpretować i ocenić.

Są oczywiście klasy bardzo zdyscyplinowane, przyzwyczajone do słuchania i wykonywania poleceń, trochę trwa, zanim się otworzą i zaczną pytać. Ale są też takie, do których wchodzisz i od razu wiesz, że uczniowie są przyzwyczajeni do swobodnej rozmowy, że potrafią dyskutować. Czasem nam się wydaje, że niektórzy po raz pierwszy na naszych lekcjach mówią na głos to, co myślą. Trzeba im na to pozwolić, jeśli trzeba, by usiąść z nimi na podłodze. Pokazać, że się cieszysz, że z nimi jesteś.

I wtedy pytają naprawdę o wszystko, również o to, co wolno im w szkole.

Na przykład?

S.G.A.: Czy można mieć niebieskie włosy? Czy nauczyciel ma prawo zabrać im telefon? Co z zakazem używania telefonów na przerwach? Dlaczego dziewczynki nie mogą wybrać w szkole sportowej klasy z piłką nożną? Dlaczego nie mogą grać w nogę na lepszym boisku, a chłopcy mogą? Czy można je w ten sposób dyskryminować?

Dla nich to realne problemy, oni tym żyją.

Pytają o hejt w internecie? Jak sobie z nim radzić?

M.E.: Tak, w ogóle o wolność słowa i jej granice. Okazuje się, że każdy i każda z nich miał lub miała styczność z hejtem w internecie. Poświęciliśmy temu tematowi jedną z edycji programu.

S.G.A.: Bardzo interesują się klimatem. Ostatnio omawialiśmy akcję Greenpeace'u, który zablokował statek z węglem w Gdyni. Na pokład statku wpadła uzbrojona po zęby Straż Graniczna, wyciągnęła aktywistów. Miała prawo? Nie miała? O tym właśnie rozmawiamy.

Dużo mówimy też o dyskryminacji: ostatnio o rozrzucaniu ulotek anty-LGBT+. Gdzie jest granica? Co wolno, a czego nie? Interesują ich realne przykłady. Są bardzo świadomi swoich praw, to już inne pokolenie. Nie wierzę, że będą w przyszłości bierni. Młodzi mają znakomity zmysł tego, co jest dobre, a co złe. Doskonale to czują.

Mamy dla nich na przykład takie ćwiczenie: urządzcie swoje państwo. Wyobraźcie sobie, że jesteście na bezludnej wyspie i musicie stworzyć konstytucję państwa. Mówimy: „Podzielcie się

rolami, kto kim w tym państwie będzie”. Oczywiście na początku wszyscy chcą być królem. Zwłaszcza chłopcy.

M.E.: Więc pytamy: „Do czego król będzie miał prawo?”. Odpowiadają, że będzie ściągał duże podatki, będzie bogaty, będzie miał prawo stosować karę śmierci. A potem dyskutujemy: „No dobrze, jeśli jesteś bogatym królem, który ściąga wielkie podatki i stosuje karę śmierci, to musisz liczyć się z tym, że obywatele zaczną się w końcu buntować i jeśli nie zrezygnujesz ze swoich przywilejów, to w końcu cię obalą”. Ostatecznie młodzi sami dochodzą do tego, że prawami trzeba się podzielić, że każdy powinien mieć swój głos i swoją reprezentację, że demokracja jest lepszym rozwiązaniem niż totalitaryzm.

Czy nastolatki pytają o prawa reprodukcyjne w związku z tym, co się teraz dzieje? Czy są zaniepokojone? Jak im to tłumaczyć?

S.G.A.: Oczywiście, młodzież pyta o wszystko, co jest tematem bieżącej dyskusji w społeczeństwie. Od 2020 roku pytania o prawa

Chłopcy są bardziej radykalni w swoich poglądach. Kiedy dyskutowaliśmy o karze śmierci, argumenty przeciwko niej dużo szybciej trafiały do dziewczynek niż do chłopców

reprodukcyjne czy w ogóle prawa kobiet pojawiają się znacznie częściej. W tych pytaniach widać często niepokój i strach. Nie uciekamy od takich pytań, wręcz przeciwnie, to doskonała okazja, aby rzetelnie im wyjaśnić ostatnie zmiany dotyczące praw reprodukcyjnych i ich konsekwencje. To też jest przecież rozmowa o prawach człowieka.

Badania pokazują, że młodzi polscy mężczyźni bardziej idą na prawo niż młode kobiety.

M.E.: Nie wiem, czy na prawo, ale zdecydowanie chłopcy są bardziej radykalni w swoich poglądach. W tym roku w jednej ze szkół dyskutowaliśmy o karze śmierci, argumenty przeciwko niej dużo szybciej trafiały do dziewczynek niż do chłopców. Pod koniec lekcji dyskusja toczyła się już tylko pomiędzy uczniami i linia podziału między zwolennikami a przeciwnikami przebiegała zgodnie z płcią.

Temat kary śmierci w ogóle bardzo porusza młodych ludzi. Pytają, próbują zrozumieć, mówią, co myślą. Robimy im różne ćwiczenia.

Jakie?

M.E.: Na przykład bawimy się w sąd. Sprawa jest prosta: jest kradzież, jest złodziej, jest oskarżyciel, jest obrońca. Ale są też wątpliwości w sprawie. I te wątpliwości sąd musi rozstrzygnąć. A potem zamieniamy się rolami, bo oczywiście każdy chce na początku sędzić, a potem staje się oskarżycielem, obrońcą. Uczniowie niesamowicie się podczas tych zajęć angażują, to jest wspaniałe, bo dogrzebujesz się do takiego czystego poczucia

sprawiedliwości, które jest w każdym dziecku. Potem przenosimy tę sytuację na realia szkolne: jest uczeń, jest nauczyciel i dyrektor. Mamy spór szkolny. I wspólnie go rozwiązujemy.

S.G.A.: Albo robimy referendum: czy chcecie, by na terenie szkoły sprzedawano czekoladowe batoniki? Wszyscy chcą. Ale my zliczamy głosy i mówimy, że większość się nie zgodziła. Mówią: „Niemożliwe, wiemy, że głosowaliśmy za!”. A my rwiemy wszystkie kartki, nie ma już wglądu do głosowania. Nie można tego sprawdzić. Oni się oburzają, a my im opowiadamy o tym, że wybory mogą być sfalszowane, o kontroli, co można zrobić w takiej sytuacji, gdzie się zwrócić.

Z jednej strony mamy ministra Czarnka, który robi wszystko, by podporządkować szkoły władzy centralnej, sprzeciwia się wpuszczaniu do szkół organizacji z zewnątrz, a z drugiej - licea, podstawówki, które tak chętnie was zapraszają. To świadczy o ruchu oporu w polskich szkołach?

S.G.A.: To świadczy o tym, że są dyrektorzy, którzy się nie boją. A nie mają łatwo. W Małopolsce kuratorka niezwykle aktywnie wypowiadała się o Tygodniu Konstytucyjnym, sprzeciwiała się, wzywała nawet dyrektorów szkół do złożenia wyjaśnień, pytała, kto dokładnie był w szkole, prosiła o nazwę organizacji, nazwiska. My również dostawaliśmy pytania o to, jakie szkoły przystąpiły do naszego programu. Nie mamy obowiązku udostępniać takich danych. Dostajemy pytania: kto za tym stoi? Kto za to płaci? Jak się okazuje, że nikt za tym nie stoi i, co więcej, nikt za to nie płaci, to myślą: one oszalały, nie kandydują nigdzie, nie biorą za to pieniędzy, nie pracują dla żadnej partii politycznej, no oszalały.

M.E.: Oczywiście były szkoły, które przstraszyły się nacisków i się wycofały. Dyrektorzy piszą potem do nas miłe wiadomości, że jest

im bardzo przykro, ale nie mogą. My to rozumiemy, wiemy, że wolą mieć spokój, bo nikt nie chce mieć ministra edukacji albo kuratorium z kontrolami. Nauczyciele, którzy przez lata byli z nami, informują, że nagle zmienił się dyrektor, jest przeciwny akcji i nic nie mogą zrobić. Trudno, rozumiemy to, robimy dalej swoje.

Są też nauczyciele, którzy proponują tajne komplety poza szkołą.

Naprawdę?

M.E.: Nadszedł taki czas, że i nauczyciele, i rodzice organizują się, by podporządkowane władzy szkoły nie zatrwały myślenia ich dzieci. Mnie się wydaje, że nauczyciele, dyrektorzy i rodzice są już tym wszystkim naprawdę zmęczeni. Bo słyszą: tych nie wpuszczajcie, bo temat konstytucji jest polityczny. Prawa człowieka są polityczne, prawa zwierząt są polityczne. Wszystko jest polityczne?

S.G.A.: Dyskryminacja jest hasłem politycznym? Naprawdę?

Po strajku nauczycieli dostali od tego państwa tak wiele hejtu, zastraszania, że mają dość. Tak przynajmniej próbują wytłumaczyć sobie sukces naszej akcji i tego, że z roku na rok dołącza coraz więcej szkół. One ciągle wierzą w zmianę. Nauczyciele czują ogromną odpowiedzialność za młodzież. Ich środowisko jest w Polsce niedoceniane, niby wszyscy wiemy, jaki to ważny zawód, że wychowują nasze dzieci, że to jedne z ważniejszych osób w ich uczniowskim życiu, a są źle opłacani, przeładowani, pracują w nocy po godzinach, nie dostają podwyżek. A jednak im się chce.

W szkołach na pewno trafiacie na uczniów z różnych domów, także tych, których rodzice uważają obecną władzę i zmiany, jakie wprowadziła, za dobre rozwiązania.



Rodzice i nauczyciele angażują się, *by szkoły podporządkowane władzy nie zatrwały myślenia dzieci*

S.G.A.: Oczywiście, ale ważne, by to wybrzmiało: my nie agitujemy politycznie, nie przekonujemy też uczniów do swoich poglądów. Nasz program nie jest polityczny. Uczymy, czym jest społeczeństwo obywatelskie, czym jest konstytucja. Piszemy scenariusze lekcji, które są dostępne również dla nauczycieli. Potem sami mogą prowadzić lekcje na ich podstawie. Wydaliśmy też podręcznik „Jak uczyć ciekawie o Konstytucji i prawie?” o tym, jak rozmawiać z młodzieżą o konstytucji. Teraz mamy nowy - o Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i o strasburskim Trybunale. A na jesień planujemy kolejną akcję edukacyjną dla licealistów.

To wszystko jest pro bono?

M.E.: Nie bierzemy za to ani złotówki - ani my, ani prawnicy, którzy uczestniczą w akcji. Żadna szkoła za nic nie płaci. Prawnicy na własny koszt jeżdżą do szkół, czasem kilkaset kilometrów do małej miejscowości. Dla szkół poza wielkimi miastami to naprawdę duże i ważne wydarzenie.

S.G.A.: Włączają się prawnicy z całej Polski. Co roku jest ich ponad pół tysiąca. Jeździmy na Podkarpacie, jeździmy na koniec Mazowsza, gdzie jest matecznik PIS-u, jeździmy naprawdę po całym kraju: jesteśmy w Brniu Usuchowskim, Wziance, Czerwonej Woli, Dębicy, Długiem, Dobryni, Jarosławcu. W tej edycji mamy 19 szkół specjalnych, ośrodków socjoterapeutycznych. Często to instytucje, które stoją dosłownie w środku pola. Dyrektorzy uprzedzają nas, że „to będą zajęcia z tak zwanymi trudnymi dziećmi”. Bardzo

lubimy tam jeździć, bo te dzieci zadają sporo pytań. Wychodzimy szczęśliwe.

M.E.: Nie znam prawnika, który wyszedłby ze szkoły rozczarowany. Zajęcia trwają zwykle dwie godziny lekcyjne. To czas, który daje ogromną satysfakcję i bardzo dużo uczy nas o świecie młodych ludzi.

Na koniec uczniowie robią sobie zdjęcia z hashtagiem #mojakonstytucja, a my przez cały tydzień jesteśmy dosłownie zalewane tymi zdjęciami. Na zdjęciach są uczniowie z sędziami, adwokatami, prokuratorami, bo to akcja międzyrodowiskowa. To wspólny program edukacyjny środowiska prawniczego, uczestniczą w nim także prawnicze sławy. Dla nich to też ciekawe - by spotkać się z młodzieżą, muszą wyjść z sądu albo kancelarii. I ćwiczenie, by nauczyć się mówić do młodzieży. Muszą mówić tak, by zostali zrozumiani.

S.G.A.: Wiesz, co jest najważniejsze, gdy się idzie do takich szkół? To różnorodność. W szkołach uczniowie są z bardzo różnych środowisk i domów - bogatych, biednych, w których głośuje się i na Konfederację, i na PO, i na PiS. I wszyscy siedzą w jednej klasie. Masz taki unikalny moment, kiedy oni są młodzi, siedzą razem i mają otwarte głowy, możesz z nimi po prostu rozmawiać, pozwolić, żeby sami dokonali wyboru tego, co jest dla nich naprawdę ważne.

Uczniowie zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa indoktrynacji? Z tego, co robi władza?

S.G.A.: Nasze doświadczenie jest takie, że to wiedzą i że czują. Ale my im nie narzucamy żadnego zdania. Tłumaczymy zasady. Pozwalamy im samym dojść do własnej opinii.

Dajemy narzędzia. Choć niektórzy uczniowie opowiadali nam, że obniżono im oceny za zachowanie, bo mieli błyskawice na swoich zdjęciach profilowych albo na koszulkach. O tym rozmawiamy: czy nauczycielom wolno to zrobić, czy nie? Czy sami nauczyciele mogą pokazywać swoje poglądy, czy nie powinni? Rozważamy racje, bardzo merytorycznie.

Żeby dotrzeć do młodych, założyliście TikToka.

S.G.A.: To ważne, by sięgnąć po nowe kanały komunikacji. Czujemy, że nie ma innej drogi. Trzeba ich cały czas zapraszać do rozmowy. To praca u podstaw. Ostatnio jeden ze studentów napisał mi, że się odważył i zdecydował pójść na prawo po spotkaniu z nami. Gdy to czytasz, myślisz: to ma sens.

M.E.: Może to górnolotnie zabrzmie, ale uważamy, że to, iż jesteśmy prawniczkami, oznacza, że ciąży na nas jakaś odpowiedzialność. I jako prawniczki mamy obowiązek, zwłaszcza w czasach kryzysu prawa i państwa, dzielić się swoją wiedzą. Wierzymy, że to, jak teraz zainwestujemy swój czas i wiedzę, spowoduje, iż świadomi obywatelsko młodzi ludzie będą się interesować tym, co dzieje się wokół nich, w ich bloku, na ich osiedlu, w ich szkole, w ich państwie. Tak się buduje społeczeństwo obywatelskie.

Prof. Ewa Łętowska powiedziała kiedyś, że tak jak młodzież szkolną prowadzi się na wycieczki do teatru, do kina czy muzeum, tak powinno się ją przyprowadzać do prawa. Bez znajomości prawa nie ma świadomych obywateli. ♦



Na zdjęciu: Dyrektorka Katarzyna Kania oraz uczniowie Korczakowskiej Szkoły Marzeń w Katowicach, podczas uroczystego otwarcia Liceum Korczaka w Katowicach

Sposób na mądrą edukację



LICEUM
KORCZAKA
KATOWICE



UCZELNIA
KORCZAKA

Dyskusje wokół problemów współczesnej edukacji zdają się nie mieć końca. Odpowiedzią może być forma proponowana przez Uczelnię Korczaka, która wykorzystując filozofię swojego patrona, wpływa na kształcenie młodych ludzi oraz prowadzi badania nt. dostosowania systemu kształcenia do potrzeb pracodawców.

Idea filozofii Korczaka polega na traktowaniu dziecka podmiotowo, a nie przedmiotowo. Uczelnia z powodzeniem od 30 lat oferuje interdyscyplinarne programy kształcenia z zakresu pedagogiki, pracy socjalnej czy polityki społecznej, wychowując absolwentów, którzy rozumieją wyzwania współczesnego świata. Dostosowana jest do potrzeb nie tylko studentów, ale i dzieci i młodzieży dzięki Korczakowskim Szkołom Marzeń i tworzącym się w tym roku Liceom w 4 miastach: Warszawie, Katowicach, Lublinie i Olsztynie, w których panuje życzliwa przestrzeń do zdobywania wiedzy, czego rezultatem ma być mądre, świadome i szczęśliwe życie.

O nowym rozdziale uczelni, tj. powstawaniu Korczakowskich Liceów, mówi Katarzyna Kania, współautorka koncepcji i dyrektorka Liceum Korczaka w Katowicach.

Jestem nauczycielem wykształconym i praktykującym w USA, a ostatnie 10 lat spędziłam pracując z dziećmi i młodzieżą w międzynarodowym systemie edukacji, co pomaga mi odpowiedzieć na pytanie o to, czego brakuje w polskiej szkole. Oczywiście nie działałam sama. Ściśle współpracuję z moją kadrą nauczycielską. Nasza szkoła ma przede wszystkim za zadanie odkryć najmocniejsze strony uczniów, uświadamiać ich, pielęgnować te umiejętności i pokazać, że każde dziecko jest wartościowe. Nie chcemy „wrzucać” dzieci i młodzieży w utarty schemat, tylko pokazać jak wszechstronny jest świat, oraz że każdy może znaleźć w nim swoje miejsce. Nasze licea będą działać w duchu korczakowskich idei samorozwoju i odpowiedzialności, a nauczyciele na warunkach partnerskich będą kształcić i wspierać młodzież. Jeżeli mamy silne poczucie własnej wartości, to żadne potknięcie nas nie zabije, bo wiemy kim jesteśmy. Nie określa nas komentarz innej osoby

czy słaba ocena w dzienniku. Pokazujemy ludzką twarz, pełną empatii i wsparcia. Oczywiście w tym wszystkim istotną jest też edukacja, której poziom musi być odpowiednio zachowany. Trzymamy się podstawy programowej i jest ona dla nas fundamentem, ale nie możemy zabić przyjemności z procesu uczenia. Nasze liceum będzie innowacyjną placówką, którą wyróżnia to, że pierwszy rok zostawiamy bez profilu, aby młodzież mogła zorientować się „co tak naprawdę chcą robić w życiu”. W tym mają pomóc zajęcia oparte na nowym nurcie, który nazywa się filozofią poznawczą z elementami psychologii. Ma to dbać o dojrzałość psychiczną młodego człowieka, aby łatwiej mu było ukierunkować się na etapie kolejnej klasy. Drugim elementem jest to, że jesteśmy interdyscyplinarni i mój zespół świetnie ze sobą współpracuje – myśli chociażby nad tym, w jaki sposób pokazać wszystkie powiązania między przedmiotami. Stawiamy na pracę w grupach, bardzo często je mieszając, aby nauczyć ich współpracować z różnymi typami osobowości – jak w życiu – pokazując tym samym, że każdy ma jakieś mocne strony. Na pewno ważne są języki obce i oprócz tego, że nasi absolwenci muszą wyjść z pełną komunikacją językową w j. angielskim, to dodatkowym elementem przy pozostałych językach jest to, że są uczone przez native-speakerów (m.in. język japoński i włoski).

Uczelnia Korczaka to nie tylko proces edukacji, ale również projekty naukowe. Jednym z ważniejszych jest „Sektorowa Rada ds. Kompetencji – Opieka Zdrowotna i Pomoc Społeczna”. Więcej o nim mówi rektor uczelni – prof. dr hab. Mirosław Grewiński.



Kilka lat temu Pracodawcy RP jako związek (lider) zaproponował Uczelnię Korczaka i Uczelnię Łazarskiego wejście w projekt dotyczący kompetencji w obszarze zdrowia i pomocy społecznej. Jego celem jest zwiększenie wiedzy o potrzebach kwalifikacyjno-zawodowych w branży opieki zdrowotnej i pomocy społecznej oraz dostosowanie systemu kształcenia do potrzeb rynku. Mowa tu o asystentach lekarza czy zawodach w sferze pomocy społecznej. Patrzymy na to, jakie kwalifikacje i umiejętności muszą mieć pracownicy, aby sprostać wyzwaniom współczesności. Jako uczelnia mamy pewną wiarygodność potwierdzoną 30-letnim doświadczeniem kształcenia na kierunkach społecznych i pedagogicznych. Projekt ten da możliwość dostosowania edukacji na potrzeby ludzi, aby nasi absolwenci mogli zapełnić deficyt w wielu profesjach społecznych.

Pornograficzna panna młoda

Rajzla kocha rodzinę, modli się szczerze, nie rezygnuje z wiary, ale staje się rozdarta, kiedy odkrywa pornografię, czyli „szmuc”. W języku jidysz to coś brudnego

Z FELICJĄ BERLINER, PISARKĄ,
AUTORKĄ POWIEŚCI „SZMUC”,
ROZMAWIA MICHAŁ NOGAŚ

Rajzla ma 18 lat i mieszka na Brooklynie. Urodziła się i wychowała w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej, jest głęboko wierząca i całkowicie podporządkowana zasadom wiary oraz tym narzuconym przez wspólnotę. Ale pewnego dnia, gdy nielegalnie - bo to wbrew zasadom ustanowionym przez rabinów - wchodzi do internetu, odkrywa porno. Od tej chwili jej życie radykalnie się zmienia. Kobieta nie tylko uzależnia się od oglądania filmów (robi to pod kocem, wyłączając dźwięk i ukrywając się przed młodszą siostrą, z którą dzieli pokój), zaczyna też wątpić, czy będzie w stanie sprostać najważniejszemu zadaniu, które stawia przed nią życie - znaleźć męża, urodzić dzieci, stać się odpowiedzialną i podporządkowaną wybranemu mężczyźnie żoną.

„Czuje strach przed seksem, który ją czeka - kąpiel rytualna, seks w piątkowy wieczór. Czy zdejmie piękną suknię ślubną i zostanie naga? Czy kiedykolwiek namówi chusena, przyszłego męża, by dotknął jej tam językiem? Na podstawie tego, co robią kobiety na filmach, Rajzla uważa, że nie będzie mogła bez tego żyć, i obawia się, że chusena uzna ją za prostą, prymitywną dziewczynę o brzydkich pragnieniach. Czasami ośmiela się mieć nadzieję: jeśli choć raz weźmie do ust penis chusena, on też nie będzie mógł bez tego żyć. Przekonała ją o tym porno” - pisze Felicia Berliner w pierwszym rozdziale powieści.

Pisarka pochodzi z Los Angeles i tak jak Rajzla urodziła się w rodzinie ortodoksyjnych Żydów. Chodziła do jesziwy dla dziewcząt, uważa się za osobę wierzącą. Jej debiutanka powieść wywołała skrajne emocje wśród czytelników i krytyków - zaskoczyła, oczarowała, wzburzyła. „Szmuc” to książka bezkompromisowa, napisana w kontrze do nakazów podporządkowania się narzucanym przez religię zwyczajom i normom, obnażająca obłudę świata, nie tylko tego, z którego wywodzą się Rajzla i Felicia.

FELICIA BERLINER: Uprzedzę twoje ewentualne pytanie. To nie jest powieść autobiograficzna.

Myszę, że wiele osób mogłoby mieć takie podejrzenia...

Mój rodzinny dom w żaden sposób nie przypominał tego, w którym dorastała Rajzla. Książka nie jest więc dziennikiem czy spowiedzią. To wyłącznie efekt pracy mojej wyobraźni.

Nie oznacza to, że „Szmuc” ma być dowodem lub pretekstem do odcięcia się przede mną od korzeni - członkowie mojej rodziny i niektórzy przyjaciele to ortodoksyjni Żydzi, choć nie chasydzy, mam wiele szacunku dla świata, w którym wzrastałam, jest we mnie dużo wdzięczności, gdy myślę o edukacji, którą odebrałam w jesziwie i która dała mi dużo siły na całe życie. Nie byłoby tej książki, gdyby nie świadomość, skąd się wywodzę.

Na czym polegała ta edukacja?

Na uważnej i pogłębionej lekturze oraz analizie tekstów zawartych w Torze. Ale już nie Talmudu! To w społeczności ortodoksyjnej było i w zasadzie wciąż jest zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn. Czytanie Tory miało nas prowadzić do zrozumienia, kim jest Hasezem, czyli Bóg. Słowo to oznacza Imię i pełni



FELICIA BERLINER

- pseudonim amerykańskiej pisarki urodzonej i wychowanej w rodzinie ortodoksyjnych Żydów, która ukrywa tożsamość za maską. „Szmuc” jest jej pierwszą powieścią. Berliner będzie można spotkać podczas Big Book Festival, w sobotę 24 czerwca o godz. 19 (Big Book Cafe MDM, ul. Koszykowa 34/50). Spotkanie poprowadzi Paulina Reiter

funkcję substytutu, ponieważ samego imienia - z racji szacunku i czci wobec istoty najwyższej - wypowiadać nie można. Chodziłyśmy też do synagogi, by zrozumieć, w jaki sposób to, co boskie, objawia się na co dzień w naszym życiu, jak przenika wszystkie jego elementy.

Właśnie w tym duchu zostałam wychowana i to łączy mnie z bohaterką powieści.

Rajzla dorasta w świecie zamkniętym i całkowicie nieufnym wobec tego, co dookoła. Jej rodzice i rodzeństwo żyją zgodnie z wielowiekową tradycją, jakkolwiek nowoczesność postrzegając jako ogromne zagrożenie.

Opowieść o tym zjawisku, o odrębności i niekompatybilności ze światem współczesnym, to serce książki. Główna bohaterka „Szmuc” wychowuje się we wspólnocie, w której każdy aspekt jej funkcjonowania - od tego, co je, po to, co i jak nosi na głowie - jest regulowany przez prawo i zwyczaje. Rodzice i otoczenie mają oczekiwania, wiedzą lepiej od niej i myślą za nią, to oni chcą zaplanować jej małżeństwo i przyszłość, w pełni dorosłe życie. Dziewczyna jednak zaczyna im się wymykać, znajduje szczeliny, przez które do jej życia wdiera się zewnętrzny świat. Nie dzieje się to do końca przypadkiem, a raczej, pośrednio, za przyzwoleniem rodziców - zaczyna naukę w college'u, podejmuje pracę w biurze rachunkowym u wdowy po jednym z rabinów i zarabia własne pieniądze, co daje jej sporą niezależność, pomaga też ojcu w prowadzeniu jego własnej księgowości. I - co najważniejsze - zaczyna korzystać z laptopa.

To prawdziwa rewolucja, działanie wbrew zasadom społeczności, w której dorasta i która zakazuje kobietom styczności z komputerami i zdobywania wyższego wykształcenia. Przecież oczekuje się od nich bycia posłusznymi żonami i oddanymi matkami rodzący przynajmniej kilkoro dzieci! Tymczasem, jakby tego było mało, Rajzla idzie w swych poszukiwaniach i przełamywaniu barier dalej - dzięki sprytowi znajduje sposób na wejście



w świat internetu, jak nikt w jej otoczeniu zdzierza się z nowoczesnością, odkrywa to, co w jej domu uznawane jest za brudne i złe, o czym nie mówi się nawet szeptem. Wpisuje w wyszukiwarce słowa zakazane i tak trafia na strony z filmami pornograficznymi.

Widzi na ekranie, że kobiety, które występują w tych produkcjach, mają dostęp do doświadczeń i rozkoszy, o których ona nie ma pojęcia. Ma możliwość jeszcze przed wyjściem za mąż zobaczyć, jak wygląda nagi mężczyzna, co dzieje się z jego ciałem, gdy jest podniecony. Nic dziwnego, że jej organizm, ciało dojrzewającej kobiety, zaczyna na to reagować i Rajzla odkrywa, jak sama, bez niczyjej pomocy, może przeżyć orgazm. Jest jednocześnie zszokowana, przerażona i pełna entuzjazmu. Wie, że robi źle, ale nie jest w stanie przestać.

Wszystko to, o czym piszesz w „Szmucu”, jest niezwykle sugestywne.

Kiedy pracowałam nad tą powieścią, czułam bardzo silną więź z Rajzlą. Próbowałam nie

tylko ją zrozumieć, ale też podążać za jej marzeniami i odkryciami. Wydało mi się oczywiście, że bez dotarcia do wszystkich jej potrzeb będzie bohaterką nieprzekonującą.

Próbowałam wejść w jej skórę, stać się nią choć na chwilę, poczuć emocje, które nią kierowały – od podniecenia do strachu przed byciem nakrytą i upokorzoną. Rajzla pozwoliła mi odkryć i opanować terytorium, które dla mnie jako pisarki jest najistotniejsze. Moje

Jakie to terytorium?

Miejsce, w którym spotyka się i krzyżuje to, co związane z wiarą, z tym, co ma związek z seksualnością. W przypadku społeczności, z której wywodzi się Rajzla, jest to terytorium kompletnie zaniedbane, zepchnięte na przedmieścia życia, zapomniane. A dla mnie to przestrzeń niezwykle istotna, styk dwóch tematów ważnych dla ogromnej liczby osób zagubionych w swych potrzebach – doczesnych i wiecznych. Moim celem jest rozpoznanie i eksploracja wszystkich jej zakamarków. To sprawy, których nie można zbywać milcze-

niem, bo owocuje ono wyłącznie frustracją, stanami lękowymi i brakiem odwagi do wyrażania swoich potrzeb.

Reakcje na książkę – żywe, szczere, zarówno pełne zachwytów, jak i potępienia – uświadomiły mi, że „Szmuc” dotyka czegoś ważnego i niemającego związku wyłącznie ze światem ortodoksyjnych Żydów. To temat uniwersalny i zbyt rzadko poruszany w literaturze.

Konflikt, który napędza moją opowieść – nie tylko zderzenie wiary z seksualnością, lecz także nowoczesności z tym, co tradycyjne – prowadzi też do innego ważnego wątku. To kwestia tożsamości i tego, jak zmienia się jej postrzeganie we współczesnym świecie. Nie bez powodu jednym z mott, które umieściłam w „Szmucu”, jest cytat z „Argonautów” Maggie Nelson, książki niezwykle dla mnie ważnej, wybitnej. Brzmi następująco: „Binarność normatywno-transgresywna jest problematyczna, podobnie jak żądanie, by każdy przeżył całkowicie jednolite życie” (przeł. Kaja Gucio).

FOT. ANTOINE GYORI/SYGMA VIA GETTY IMAGES



Myślę, że większość z nas odnajduje się w więcej niż jednej tożsamości i że takie osoby są dosłownie wszędzie, a więc także – co wynika choćby ze statystyki – w ortodoksyjnych społecznościach żydowskich. Zresztą już sam fakt, że jestem amerykańską Żydówką, sprawia, iż mam przynajmniej dwie – tak samo Rajzla. Jeśli dodać do tego choćby kwestię tożsamości seksualnej, która jest płynna, dochodzą kolejne możliwości. To paleta, która powinna być powodem do radości i zachwytu nad życiem, a nie do wstydu czy samopotępienia.

Rajzla, paradoksalnie, dzięki odkryciu pornografii, ale także rozmowom z grupą znajomych z college'u czy aranżowanym przez rodziców i swatki randkom zaczyna to dostrzegać i rozumieć. Sama nie zdaje sobie sprawy z przełomu, jaki następuje w jej sposobie myślenia i postrzegania świata.

Ale jednocześnie prawdziwie i szczerze kocha rodzinę, jest oddana zasadom, w myśl których została wychowana. To, że zaczyna do niej docierać, jak wielu rzeczy próbuje się jej zakazać, jest powodem jej ogromnego rozdarcia.

Właśnie! Ona kocha matkę, ojca, dziadka, braci i siostrę, kocha też Boga. Modli się szczerze, nie byłaby w stanie zrezygnować z wiary, bo to istotna część jej tożsamości. Nie potrafi połączyć wszystkich kropek, przerasta ją to od chwili, gdy odkrywa pornografię, czyli „szmuc” – bo słowo to w języku jidysz dosłownie oznacza coś brudnego, splamionego, ale jest także określeniem na filmy, do

„Szmuc” dotyka czegoś ważnego i niemającego związku wyłącznie ze światem ortodoksyjnych Żydów.

To temat uniwersalny

których dociera Rajzla, wszystkiego, co ma związek z seksem pozbawionym intymności.

Nie wie, czy i w jaki sposób może połączyć codzienne rytuały – choćby modlitwy przed posiłkami, przed snem i po przebudzeniu – z oglądaniem pod kołdrą pornograficznych scen i masturbacją. Odpowiedzi na te wątpliwości nie znajdzie w rodzinnym domu, a psychoterapeutka, do której trafia i której potwornie zawstydzona opowiada o swoim uzależnieniu, nie udzieli jej rad w kwestiach najistotniejszych. Być może sama do nich dotrze, ale będzie potrzebować sporo czasu, by stworzyć hierarchię własnych potrzeb.

W „Szmucu” pokazują też, że rozdarcie nie do końca wynika z charakteru Rajzli, jej słabości. Chwilami przytłacza ją jej własne środowisko – przecież jest ofiarą dość kuriozalnego spotkania rabinów w 2012 roku.

O tym wydarzeniu piszesz w powieści tak: „Według gojskiego kalendarza była wiosna 2012 roku i wielcy rabinowie niedawno zakazali internetu. Na stadionie Citi Field, w obecności czterdziestu tysięcy mężczyzn, oznajmili, że internet, z filtrami, może być używany

tylko w pracy. A jeśli w domu nie mogą przyjąć żadnego ucznia mającego internet w domu. Rajzla usłyszała o tym od koleżanek w żeńskiej szkole średniej, do której chodziła, gdy obejrzały transmisję w internecie. Internet powiedział im, że nie wolno im korzystać z internetu”. Faktycznie kuriozalne.

Rabini spotkali się na boisku do gry w baseball i postanowili zabronić całej społeczności dostępu do jednego z największych odkryć człowieka współczesnego. Po prostu zamrozili czas. Uznali, że to się uda i będzie po kłopotach. Ale Rajzla nie jest – i słusznie! – w stanie tego zrozumieć. Mówi: „Chcę wiedzieć, chcę zrozumieć”. Zrozumieć własne ciało, potrzeby wynikające z procesu dojrzewania, odkryć to, co ma związek z seksualnością. A przede wszystkim chce znaleźć na to wszystko słowa, bo przecież w świecie, w którym dorasta, ich nie ma, w domowym jidysz zwyczajnie nie występują. Dlatego tworzy własne pojęcia, by uporządkować w głowie wszystko to, czego doświadcza.

Z tych pojęć powstał słowniczek, który umieściłaś na końcu powieści. Oto kilka:

„interszmuc (intershmutz): porno internetowe”; „jene plac (yene platz): to miejsce (dosłownie), odnosi się do waginy”; „szwanc (shvantz): ogon (dosłownie), penis (slang)”; „wilde loch (wilde loch): dzika dziura (dosłownie), cipka (slang)”.

To dość unikalny zestaw słów i definicji. Jest połączeniem języka jidysz z tym, co na-

zwałałam językiem rajzlisz, czyli stworzonym przez moją bohaterkę na potrzeby opowiadania o świecie pornografii.

Czyli „szmucweltu”.

Rajzla sama wymyśla słowa, wykorzystując przy tym fakt, że jidysz – 15. język słowiański – powstał na bazie dialektu średnio-wysoko-niemieckiego i z dodatkiem słowiańskich, romańskich oraz hebrajskich elementów. Zawierał więc od zawsze możliwość łączenia słów i skojarzeń, czerpania z różnych słowników.

Doskonale się bawiłam, tworząc nowe słowa i komponując słowniczek, który trafił do książki. Od wielu czytelniczek i czytelników wiem, że docenili moje ironiczne podejście do jidysz jako amalgamatu słów, że bardzo spodobała im się gra z żydowskim kanonem, angielską i amerykańską tradycją literacką.

Wiele osób doceniło też to, że w swojej powieści szukasz odpowiedzi na pytanie, czy osoba zanurzona w wierze, niekoniecznie tak głęboko jak Rajzla, może mieć styczność z pornografią, z tym, co grzeszne

i związane z potrzebami ciała. I czy koniecznie musi to być dla niej źródłem udreki, narastających kompleksów.

Tak, to ważne pytanie. Zwłaszcza gdy chodzi o młode osoby, które wychowują się w zamkniętych, silnie związanych z religią wspólnotach. Mają przecież kontakt ze światem zewnętrznym i stopniowo nabywają świadomości, że sporo im w okresie dojrzewania może umykać. Naprawdę coraz trudniej takim wspólnotom jak ta, z której wywodzi się Rajzla, ukryć przed nastolatkami, że rzeczywistość ulega szybkim przeobrażeniom.

Chciałam też ukazać siłę rażenia pornografii w świecie pełnym zakazów i – być może nie do końca intencjonalnie – zahaczającym o to, co nazywane jest obłudą. Czy szok wynikający z kontaktu ze zdjęciami czy filmami, na których widać ludzi uprawiających seks we wszelkich możliwych wariantach, jest trwały i szczery? Jakie mogą być jego następstwa? Czy może na przykład doprowadzić do utraty wiary? A może przeciwnie – jako coś grzesznego sprawi, że dana osoba jedynie umocni się w dotychczasowych postanowieniach i przekonaniach?

Wszystkie te pytania dotyczą także Rajzli i prowadzą do podjęcia przez nią decyzji, którą czytelnicy poznają na ostatnich stronach książki.

Twoja powieść ukazuje się w Polsce niecały rok po premierze w Stanach Zjednoczonych. To ciekawy moment, bo „Szmuc” wpisuje się w zauważalny wyraźnie w ostatnich latach nurt opowieści o świecie współczesnych ortodoksyjnych Żydów. Otrzymaliśmy kilka ważnych książek oraz seriali, które pokazują, jak wygląda życie we wspólnocie, która nie dąży do postępu i nie zachwyca się nowinkami technicznymi, pielęgnuje za to tradycyjny podział ról społecznych i potępia wszystko, co sprzeczne z zasadami wiary.

Myślisz, że to zeitgeist? Sama się nad tym wielokrotnie zastanawiałam – dlaczego właśnie teraz? Nie wiem, czy uda się znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale ta sytuacja bardzo mnie cieszy. To miłe, że ludzie chcą się dowiedzieć, jak żyje się dziś chasydom, jak wygląda rzeczywistość Żydów mniej ortodoksyjnych, ale wciąż w sposób zdecydowany stojących na straży wiary i tradycji.

Cieszy mnie szczególnie to, że pojawiają się teksty autobiograficzne pisane przez osoby „ze środka”, dające zatem najbardziej prawdziwe świadectwo. Choć naturalnie zdaję sobie sprawę z tego, że aby je opublikować, podzielić się własną historią, musieli odejść z rodzinnego domu, zdecydować się na krok, od którego nie ma odwrotu – porzucić ortodoksyjny świat, pozwolić, by dotychczasowi bliscy uznali ich za zmarłych. Wymagało to wielkiej odwagi, znacznie większej

niż napisanie przeze mnie historii Rajzli czy nakręcenie cieszącego się dużym zainteresowaniem serialu „Unorthodox”.

Czy twoim zdaniem współczesny świat może być realnym zagrożeniem dla patriarchalnych wspólnot religijnych, choćby takich jak ta przedstawiona w „Szmucu”? Może przyczynić się do ich końca?

Koniec nie wydaje mi się realny, przeciwnie – w świecie, który zewsząd wysyła sprzeczne sygnały i wielu pozbawia poczucia bezpieczeństwa, właśnie zanurzenie się na nowo w wierze, próba powrotu do rzeczywistości, w jakiej żyli nasi przodkowie, może być realnym ratunkiem.

Przypadek Rajzli dobitnie jednak pokazuje, że zamknięte, odseparowanego od nowoczesnego świata religijne wspólnoty prędzej czy później czeka transformacja. Nie da się wychowywać kolejnych pokoleń, udając, że nie istnieje internet, że nie zmieniło się podejście do kwestii tożsamości seksualnej. Presja, jaką wywiera na nas wszystkich rzeczywistość XXI wieku, dotrze i tam. Inaczej pojawi się niebezpieczeństwo gwałtownej zmiany nastrojów, odrzucenia zasad, rozkładu.

Choć wcale nie uważam, by postęp, modernizacja, rozwój miały wyłącznie dobre, pozytywne strony. Są odpowiedzialne za wiele tragedii, wzrost frustracji, kryzys klimatyczny, drastyczne pogorszenie się warunków życia. Lęk o przyszłość sprawia, że ludzie szukają wspólnoty i wartości, które zdają się nienaruszalne. Dziś nie wiemy jeszcze, dokąd nas te różnorakie procesy zaprowadzą.

Twoja powieść była szeroko dyskutowana w Stanach Zjednoczonych. Ma gorących zwolenników i zdecydowanych przeciwników, co nie dziwi – jest kontrowersyjna. Czy w jakikolwiek sposób skomentowali ją członkowie wspólnoty chasydzkiej lub mniej ortodoksyjnych Żydów?

Na to pytanie nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Nie mam pewności, czy i jak wiele osób z tych środowisk w ogóle miało okazję sięgnąć po „Szmuc”. Zdecydowana większość nie miała nawet szansy o tej powieści usłyszeć – nie mają przecież dostępu do internetu, nie czytają gazet ukazujących się w świecie, który ich otacza. Owszem, miałam okazję rozmawiać z kilkoma osobami, które żyją w takich wspólnotach, ale to wyjątki i raczej nie byłyby zadowolone, gdybym powiedziała coś więcej.

W jakimś sensie zabawne jest to, że „Szmuc” jest dla tych ludzi bardzo... szmuc. Już sama książka, którą napisałam, jest brudna, zła, przepełniona pornografią. Nie chcę więc brać jej do rąk, by nie grzeszyć.

Być może ktoś, kto wie o życiu podobnie do tego, które stało się udziałem Rajzli,

czytał tę książkę pod kołdrą, w tajemnicy przed resztą rodziny?

Przyznam, że bardzo podoba mi się ta wizja. I jest całkiem prawdopodobna, bo przecież w świecie mojej bohaterki książki nie są zakazane.

Gdyby „Szmuc” przeczytała dziewczyna wychowana wśród ultraortodoksyjnych Żydów na Brooklynie, życzyłabym jej, by dostrzegła, że to książka napisana z miłości do świata, z którego się wzięła, że Rajzla została w niej pokazana jako osoba, którą należy podziwiać i której należy się współczucie. I że rozumiałaby, iż nie ma powodu do wstydu, do potępienia siebie samej za to, w jakich okolicznościach wkracza w dorosłość. Mam nadzieję, że znalazłaby wystarczającą dużo siły, by pogodzić tradycję z nowoczesnością, i że byłaby w stanie polubić lub może nawet pokochać także samą siebie. Bo zdecydowanie na to zasługuje.

„Szmuc”, co podkreślasz w sposób zdecydowany, nie jest powieścią autobiograficzną. Napisałaś ją jednak pod pseudonimem. Dlaczego?

Po to, by oddzielić życie prywatne od tego, co robię zawodowo. Podoba mi się idea przyjmowania pseudonimu, cieszę się, że mogłam wpisać się w długą literacką tradycję.

A dlaczego Felicia Berliner? To hołd złożony moim prababkom. Jedna z nich miała na imię Feigel – stąd F, druga Beila Dina – stąd B i Berliner. Jedna z nich zginęła w czasach Zagłady. Chciałam, by nad tym, czym się zajmuję, unosił się ich duch, by były zawsze przy mnie.

Chciałam na zakończenie zapytać o to, które ze słów umieszczonych w słowniczku znajdującym się na końcu powieści lubisz najbardziej?

Ciekawe, że dotąd nikogo to jeszcze nie zainteresowało! Myślę, że jestem szczególnie dumna ze słowa całkowicie zmyślnego, stworzonego w języku rajzlisz. To „szmuc-kale (schmutz-kalleh): pornograficzna panna młoda”. Czyli kobieta, która staje pod chupą ze swoim wybranikiem, ślubuje mu wierność i – co zrozumiałe – powinna być czysta, ale nie jest, bo zgrzeszyła nie tylko myślą, wie, czego się spodziewać podczas nocy poślubnej. I, choć przecież tylko teoretycznie, wie więcej od przerażonego, będącego prawiczką pana młodego. ♦



FELICIA BERLINER
„Szmuc”, przeł. Tomasz Wyżyński, wyd. Echa

„To ja, Jan Michele, twoja córka. Pamiętasz?”*

Jan Kerouac, która pisała o życiu kobiety w drodze, powiedziała, że jej przeznaczeniem jest zniknąć, rozsypać się w proch

TEKST ANNA BIELAK

Siadają na stołkach barowych, jej mama i ona, naprzeciwko on. Zamawiają dla niej hamburgera. Jest 5 maja 1961 roku. To dzień, w którym pierwszy astronauta leci w kosmos. Czarno-biały telewizor zawieszony pod barowym sufitem pokazuje go zamkniętego w kapsule.

To dzień, w którym dziewięcioletnia Jan Kerouac po raz pierwszy widzi swojego ojca Jacka Kerouaca – ojca amerykańskiego ruchu Beat Generation, poetę, artystę, pisarza mającego na koncie m.in. legendarny manifest bitników z 1957 roku książkę „W drodze”. Ci, którzy choćby pobieżnie interesują się kontrkulturą, słyszeli o nim. O jego jedynej córce nie słyszał prawie nikt. Biograf Jacka wspomina, że Jan, która pisała o życiu kobiety w drodze, powiedziała mu, że jej przeznaczeniem jest zniknąć, rozsypać się w proch. Gerry Nicosia prawie spadł wtedy z krzesła. Jan była śmiertelnie poważna i pewna, że zostanie zapomniana.

Do pierwszych prób wymazania jej z historii docho- dzi jeszcze za jej życia.

WYMAZYWANIE

W 1995 roku na Uniwersytecie Nowojorskim odbywa się konferencja poświęcona literaturze Jacka Kerouaca. Jan nie zostaje dopuszczona do wygłoszenia referatu na temat twórczości ojca, jest zmuszona do zapłacenia 120 dolarów za wejście, po czym o 10 rano 5 czerwca wyprowadzona z budynku przez policję. Podobno dlatego, że osmieliła się podejść do Alena Ginsberga, wieloletniego przyjaciela jej ojca i ojca chrzestnego ruchu Beat Generation, z pytaniem, czy może powiedzieć kilka słów o wadze zachowania dorobku jej ojca w stanie nienaruszonym. „Wyrzucicie ją stąd!” – usłyszała w odpowiedzi z ust Johna Sampasa, brata Stelli Sampas, ostatniej żony swoje-

go ojca, jego prawnej spadkobierczyni. Rok wcześniej Jan pojechała do domu Jacka, którego John był już właścicielem. Zaproponował herbatę i zapytał, czy ma ochotę na coś jeszcze. Jan przyznała wtedy, że marzy o tym, żeby dostać biurko swojego ojca. „Można się było tego spodziewać”, skomentował ironicznie John. Podano jej herbatę. A ona poczuła się upokorzona.

Rodzina Sampasów wyprzedawała tymczasem rękopisy, listy i książki Jacka Kerouaca. Jan zależało na tym, żeby jego dorobek znalazł się w kolekcji jednej z bibliotek. Chodziły słuchy, że New York Public Library oraz Bancroft Library na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley (gdzie został złożony rękopis ostatniej, nieskończonej książki Jan) za- oferowały po milionie dolarów za archiwalia Kerouaca. John Sampas, który po śmierci

Dokładnie rok po wyrzuceniu z konferencji w Nowym Jorku, 5 czerwca 1996 roku, Jan zmarła po operacji usunięcia śledziony w szpitalu w Nowym Meksyku. Pozostała niewidoczna, ale nie milcząca.

CHCIAŁAM WIĘCEJ

W „Trainsong”, swojej drugiej książce, Jan napisała, że niewidoczność sprawia jej przyjemność, choć dla większości kobiet jest nieakceptowalna. Dlaczego w jej przypadku jest inaczej? Jan znajduje odpowiedź w Tangerze. Mimo że mówi znacznie lepiej po hiszpańsku niż jej ówczesny partner, mężczyźni w biurze obsługującym prom na Gibraltar zwracają się tylko do niego. „Ignorowanie ze strony mężczyzn przypomina mi o ojcu. Brak zaangażowania z jego strony to wszystko, co mi dawał. Chciałam więcej” – pisze z satysfakcją, jaką się czuje, kiedy odkrywa się prawdę.

Po lunchu w barze w 1961 roku Jan i Jack idą na badania krwi mające potwierdzić ojcostwo. Jan zaprasza później tatę do domu w slumsach Lower East Side. Jack z marszu pyta, gdzie jest najbliższy monopolowy. Córka bierze ojca za rękę i dumnie prowadzi go do tego na Dziesiątej Ulicy.

Mija lokalne dzieciaki z podniesioną głową. Jack kupuje butelkę sherry Harveys Bristol Cream. W drodze powrotnej wydaje się onieśmielony. Niewiele mówi. W kuchni wygłupia się z bliźniaczkami, czteroletnimi siostrami Jan. Ona jest nieco zazdrosna, że poświęca im tyle uwagi, ale tłumaczy sobie, że pewnie Jack boi się porozmawiać o czymś, o czym nawet nie chce myśleć. Przypatruje się mu i uśmiecha, gdy ojciec na nią spogląda. Kiedy Jack wychodzi na ciemny korytarz, zostawiając za sobą pustą butelkę na stole, Jan wpatruje się w niego jak w znikający punkt. Obiecał, że znów zobaczą się w styczniu. Czasem Jan wyjmuje z pudełka jedyną pamiątkę po tej wizycie – korek z butelki

Dwa dni przed swoimi 14. urodzinami
po raz pierwszy wzięła narkotyki.

*Rok później wylądowała w zakładzie
psychiatrycznym Bellevue*

Stelli odziedziczył prawo do dysponowania dorobkiem Jacka, nie przyjął żadnej z ofert. Sprzedaż prywatnym kolekcjonerom mogła przynieść większe zyski. Tweedowy płaszcz Jacka za cenę 20 tys. dolarów (według innych źródeł – 50 tys. dolarów) trafił w ręce Johny’ego Deppa. Podobno rękopis „W drodze” został sprzedany prywatnemu kolekcjonerowi za 2,43 mln dolarów. Jan była przekonana, że testament Jacka, zgodnie z którym wszystko miała dziedziczyć ostatnia żona Jacka, był sfałszowany na rzecz Stelli przez matkę Jacka – Gabrielle. W tej sprawie toczyły się długoletnie procesy sądowe, w tamtym okresie wycieńczające dla Jan, która walczyła też z niewydolnością nerek.



Jan Kerouac karmi w kuchni
Habibi, swojego kota znajdę

FOT. © ROGER RESSMEYER/CORBIS/VCG VIA GETTY IMAGES



Jan za kierownicą opuszczonego szkolnego autobusu. Poniżej: Jack Kerouac, ojciec Jan, słynny amerykański pisarz, przedstawiciel Beat Generation. Jan spotkała Jacka tylko dwa razy w życiu



po sherry - wpatruje się w niego z nadzieją, że styczeń nadejdzie szybciej.

Nie wie, że zobaczy się z ojcem jeszcze tylko raz w życiu.

Siedem lat później, kiedy Jan sama jest w przededniu zostania matką, w drodze do Meksyku jedzie ze swoim partnerem do Lowell w stanie Massachusetts, gdzie Jack mieszka ze swoją trzecią żoną Stellą i matką Gabrielle. Na widok Jan obie się złości, że Jack nigdy im nie powiedział, że ma córkę. Jack siedzi przed telewizorem na fotelu bujanym ze szklanczką whisky. Ogląda serial „The Beverly Hillbillies”. Zaczyna rozmawiać z Johnem, partnerem Jan, jakby chciał uniknąć rozmowy z córką. „Moja mama twierdzi, że mamy takie sa-

me dłonie, mogę zobaczyć twoje?”, pyta nagle Jan. Jack podnosi brwi ze zdziwieniem, ale pokazuje ręce. Są identyczne w kształcie, choć jego większe. Znienacka mówi, żeby Jan w Meksyku napisała książkę, pozwala jej użyć swojego nazwiska.

Jack Kerouac umiera w październiku 1969 roku, kilka miesięcy po tym, jak pierwszy człowiek stanął na Księżycu. O śmierci ojca Jan dowiaduje się z radia. Ale w żałobie jest od dawna. W lutym 1968 roku straciła dziecko podczas przedwczesnego porodu. Jej

córka miała mieć na imię Natasha.

UTRACONE ŻYCIE

Od wspomnienia tego porodu zaczyna się pierwsza, debiutancka powieść Jan Kerouac - „Baby Driver”. Trudno się przez to uwolnić od poczucia, że wisi nad nią fatum utraczonego życia. Ale może był to też moment, w którym los zdecydował, że Jan pójdzie drogą własnego ojca, a nie matki. W jednym z rozdziałów „Trainsong” Jan się zastanawia, kim by była, gdyby została matką w wieku 16 lat, gdyby miała córkę. Pewnie by nie podróżowała. Czy wtedy pisała książki? Czy w latach 70. dałaby radę połączyć samotne

macierzyństwo z brakiem finansowej stabilności? Czy byłaby jak własna matka? Czy popadałaby w romanse z narcystycznymi partnerami, bo tylko taki sposób kochania by rozumiała - spektakl na forum publicznym i ignorowanie za kulisami?

Do Meksyku nie wyjechała z ojcem dziecka, ale z sąsiadem - Johnem Lashem, dziś autorem książek o gnostycyzmie, szamanizmie i korzeniach chrześcijaństwa. Do końca życia łączyła ją z nim wyjątkowa relacja. John był jej pierwszym mężem. Rozstali się, ale on nigdy nie zniknął z jej życia. Objaśnił jej, kiedy miała 19 lat, ideę poliamorii. Aby uratować go z tarapatów, Jan zaczęła się prostytuować. Dedykuje mu też powieść „Trainsong”, której motywem przewodnim są jej kolejne toksyczne relacje z mężczyznami. Wplata w nie wspomnienia o ojcu. Zanim John stał się mężem Jan, na jakiś czas zastąpił jej ojca w roli jej opiekuna. W 1967 roku zajął się dziewczyną uciekającą przed więzieniem, bo w latach 60. w Nowym Jorku groziło ono nastolatce, która na okresie warunkowym po wyjściu z poprawczaka zaszła w ciążę z dilerem narkotyków.

Problemy Jan z prawem zaczęły się kilka lat wcześniej. Jako 13-latką poznała 22-letniego Paula Orlove'a, artystę, w którym się zakochała. W walentynki 1965 roku, dwa dni przed swoimi 14. urodzinami, po raz pierwszy wzięła z nim narkotyki. Rok później wyłodo-

stałą pracę? To już wolę skoczyć na łeb z mostu Golden Gate. A jak ucieknę, to się dobiórą do matki, a co ona tam ma, ledwie 78 dolarów na miesiąc, ale nawet to jej wezmą. No i wtedy to już chyba kogoś ukatrupię, zgadnij kogo. A mam maczetę”.

W IMIĘ OJCA

Jan nie znała tych listów, ale nigdy nie oceniła ojca. Nie chciała, żeby czuł się winny z powodu tego, kim jest. Phil Cousineau, amerykański pisarz, wykładowca, scenarzysta i dokumentalista, wspomina kolację z Jan. Mówiła, że od dziecka wiedziała, iż jej ojciec przynależy do świata – nie do niej. Ale jej zadaniem było go bronić, bo był tak wrażliwy. I to było wyzwanie – jak grać rolę opiekuńczej córeczki słynnego tatusia bez jakiegokolwiek wsparcia z jego strony?

Jan zawsze marzyła o przynależności. Nigdy nie potrafiła należeć do nikogo. Zwykle to ona rozstawiała się z mężczyznami. W listach wspomina, że trzy razy przerywała ciążę; czwartą, w którą zaszła pod koniec lat 80., chciała zachować. Martwiła się tylko, czy to elegancko jechać do Europy na promocję książki, będąc w zaawansowanej ciąży. W „Trainsong”, w której opisuje swój wyjazd na Stary Kontynent, o ciąży nie pada ani jedno słowo.

Brad Parker, pisarz i dziennikarz, w zbiorze wspomnień o Jan „A Life in Memory” pisze o rozmowie, którą odbył z nią w Lowell w 1988 roku. Sugeruje jej wtedy, że może powinna się ustabilizować, wyjść za męża, urodzić dziecko, żyć spokojnym życiem. To wprowadza Jan z równowagi. Zaczyna mówić o nieudanych związkach, o utracie ciąży, aborcjach i małżeństwach, które się rozpadły. Pyta, jak Brad może sugerować, że mogłaby mieć coś, co całe życie jej umyka. Z całych sił starała się wieść szczęśliwe życie i poległa. Jak on może tego nie widzieć? Tyrada Jan, wynikająca z jej zdaniem ze splotu frustracji z emocjonalnym bólem, skojarzyła się Parkerowi

z Judy Garland. Aktorka, legendarna Dorotka z „Czarnoksiężnika z Oz”, też mówiła, że nigdy nie była w stanie zrobić tego, o czym przez lata śpiewała – znaleźć się po drugiej stronie tęczy.

TURKUSOWE OCEANY

Jan powtarzała, że marzy o domu z basenem wypełnionym turkusową wodą. Podobno ostatnie słowa, które wypowiedziała przed operacją, brzmiały: „Boję się, że już nigdy nie pójde popływać”.

Zachorowała na ciężką niewydolność nerek w 1991 roku. Była wtedy w Puerto Rico. Jej ówczesny partner marudził, że musi ją wieźć do szpitala. Od tamtej pory musiała przeprowadzać dializy co sześć godzin. Mieszkała sama w Albuquerque w Nowym Meksyku. Doszła do wniosku, że aby uniknąć kolejnych toksycznych związków, nie będzie wchodzić w żadne.

Cousineau wspomina, że jego zdaniem Jan przeczuwała, iż może nie przeżyć czekającej ją operacji. Zaczęła źle widzieć, więc zamiast pisać, nagrywała taśmy. Planowała przebieg kolejnych rozdziałów swojej trzeciej książki. „Jakby pisanie mogło ją przywrócić do życia”.

„Parrot Fever”, nieukończona powieść, której ostatni napisany przed śmiercią rozdział nosi tytuł „Apokalipsa”, opowiada o dwóch siostrach Claire i Maxine – córkach sławnych i nieobecnych ojców, które poszukują miłości i przygody w Londynie, Puerto Rico, Grecji i na Hawajach. Kiedy tylko wydaje im się, że odnalazły swoje miejsce na ziemi, zostają wyrzucone z raju – przez konflikt z prawem, z mężczyznami albo przez los.

Jan nie chciała pisać kolejnej autobiograficznej książki, ale z jej opowieści na temat „Parrot Fever” jasno wylania się temat, który jej dotyczy. Gdzie kończy się dziecięca beztroska i zaczyna proces autodestrukcji? Dlaczego ulegają mu utalentowani ludzie? To pytania, które sobie zadawała i które można

byłoby zadać jej ojcu. Nie ma na nie łatwej ani dobrej odpowiedzi. I na pewno nie ma jednej. W opublikowanym fragmencie powieści jest za to fraza, która wbija się w pamięć: „W życiu rzeczy prawie się zdarzają, w świecie fikcyjnym mogą się zdarzyć naprawdę”.

LALECZKA

Jesienią pod koniec lat 70. Jan statystuje na planie filmu „Heart Beat” (1980) o relacji jej ojca (w roli Jacka – John Heard) z Nealem (Nick Nolte) i Carolyn Cassady (Sissy Spacek). Jan opisuje w „Trainsong”, jak siedzi przy stoliku w filmowej Acropolis Café z panami grającymi w szachy. W beżowej sukience z krepiny, w butach na obcasach i przesadnie natapirowanych włosach, lekko znużona wodzi oczkami za ich ruchami. Wszyscy pała, żeby stworzyć autentyczną atmosferę. Kobiety uczulono, żeby zostawiały ślad szminki na niedopalkach papierosów.

Jan przygląda się ojcu Jackowi – Johnowi Heardowi. Patrzy na obracające się skrzydła wiatraków pod sufitem, wdycha zapach lakieru do włosów i papierosów – i nagle wszystko zapomina.

„Jestem w rzeczywistości, w której jeszcze się nie urodziłam. (...) Czy mogłabym być własną matką?”, zastanawia się. „A kim jest ten ciemnowłosy mężczyzna w szero-kich niebieskich spodniach, opowiadający o poezji? To mój ojciec? Mój nieobecny mąż? Gdzie ja jestem? W Kalifornii? W Kolorado? W Nowym Jorku? Co tu się dzieje? Kim jestem...?” ♦

* Cytat z wiersza napisanego i w części improwizowanego przez Jan Kerouac w trakcie programu radiowego Marjorie Van Halteren „Captured Voices” w stacji WNYC w Nowym Jorku w 1989 roku. Kiedy Jan go czytała, w tle leciało nagranie z Hunter College z 1958 roku, w którym jej ojciec Jack Kerouac głosił Origins of Beat Generation.

REKLAMA



I INNI

ORGANIZATORZY:

AGORA. wyborczapl

PARTNER GŁÓWNY:

RZESZÓW

PARTNER:

ESTRADA RZESZÓWSKA

SPONSOR:

PERŁA

PARTNER MERYTORYCZNY:

za'KS

PATRONI MEDIALNE:

wyborczapl

HELIOS

Wp Rzym.pl

HIRO

helios media

CGM

BILETY

eBilet

Going

empiky bilet

BILETOMAT

kicket

**ANNA
RUSOWICZ**

– wokalistka, autorka
tekstów, czterokrotna
laureatka nagrody Fryderyka

Ideę dalej

Nie farbuję włosów na niebiesko, nie buntuję się.
Rewolucja dzieje się w środku

Z ANNĄ RUSOWICZ, WOKALISTKĄ,
ROZMAWIA SANDRA ZAKRZEWSKA

Wiek to tylko liczba czy coś się zmieniło, odkąd skończyłaś 40 lat?

W liczbach jest magia. Ktoś kiedyś powiedział mi nawet, że jestem Rusowitch, czyli taka czarownica. Wierzę w rzeczy ukryte w numerach. To pewien rodzaj kolektywnego doświadczenia, trochę jak w przypadku 18. urodzin. Zachodzi we mnie zmiana, tylko w mniej spektakularny sposób. Nie farbuję włosów na niebiesko, nie buntuję się. Ta rewolucja dzieje się w środku.

To dla ciebie nowy rozdział?

Nawet nie jest tak, że ja sobie coś wymyśliłam, tylko życie pokazuje zmiany. Ten kolejny rozdział przyszedł sam - rozwiodłam się, buduję nowe życie i wydaję płytę. Razem z tą czterdziestką przychodzą nowe doświadczenia, inny sposób patrzenia na świat, co daje mi bazę, żeby myśleć, że panika jest niepotrzebna. Przeżywam to, ale patrzę też na doświadczenia swoich znajomych. Na spokojnie, tak widocznie musi być. Wiedza daje mi spokój. Może gdybym miała 20 lat, przeżywałabym to wszystko inaczej. Dziś wiem, że mogę na sobie polegać, wiem, kim jestem i jakie są moje słabe strony. Coraz mniej ulegam pewnej iluzji, a ta rzeczywistość, która do mnie przychodzi, jest łatwiejsza do przyswojenia.

Co masz na myśli, mówiąc o iluzji?

Ulegamy jej, dlatego że nasze życie psychiczne zbudowane jest z mechanizmów obronnych. Element iluzji, który nam towarzyszy, ma nas przed czymś ochronić i im

dłużej w niej tkwimy, tym jest nam trudniej. Wszystko się wali, a my dalej próbujemy tę iluzję podtrzymać. To rodzi olbrzymi dysonans i cierpienie. Kiedy odpuścimy i pozwolimy się wszystkiemu zawalić, to na tych zgłiszczach jesteśmy w stanie zbudować coś dobrego. Pojawia się akceptacja, miłość własna i poczucie, że nie muszę się z nikim ścigać, rywalizować, mogę się realizować na spokojnie.

To poczucie, że nie muszę się z nikim ścigać, musi być bardzo uwalniające?

Jestem dla siebie wystarczająco dobra - to jest kluczowe. Może nie osiągnęłam takich wyzyna, jakbym chciała, a inni uważają, że mogłabym zrobić więcej, ale ja czuję, że jest dobrze. To ten rodzaj samomości, kiedy potrafimy spojrzeć na siebie łagodniejszym wzrokiem. Wcześniej byłam samokrytyczna, perfekcyjna, goniłam kolejne,

coraz dalej postawione cele, a teraz myślę sobie: przestań, nie musisz.

Domyślałam się, że to nie przyszło wraz ze zmianą daty w kalendarzu, tylko było długim procesem podpartym ciężką pracą.

Żeby dojść do tego miejsca, naprawdę trzeba przerobić tonę złych rzeczy. Najtrudniejsza jest praca psychiczna, konfrontacja z samym sobą i swoimi lękami. Z drugiej strony - kiedy, jeśli nie teraz? Później możemy przegapić najważniejszy moment. W Stanach Zjednoczonych na 40. urodziny niektórzy robią tzw. bucket list, listę, na której wypisują cele, a później je odhaczają. Też stworzyłam coś takiego. Jestem w drugiej połowie życia, więc muszę wiedzieć, czego chcę i jak to życie ma wyglądać. Do czterdziestki biegło, jak chciało, trochę jak trawta na morzu, teraz nadszedł czas, żeby zostać kapitanem.

Co znalazło się na twojej liście?

Na przykład teraz latem będę skakała z samolotu.

Są różne miejsca na świecie, które chciałabym zobaczyć. Planuję podróż do Japonii i Australii. Mam pomysł na kolejne płyty. Do tego marzę o tym, żeby ustabilizować swoje życie i urządzić dom po swojemu. To są takie rzeczy na już, ale tych pozycji na liście jest wiele. Chciałabym tak rozgościć się w swoim życiu jak w wygodnym fotelu.

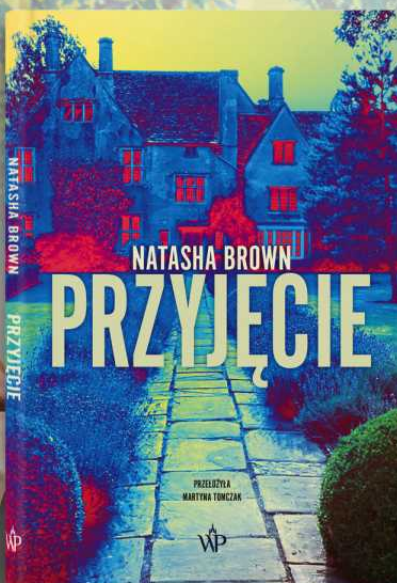
Moment odpuszczenia był dla ciebie najtrudniejszy?

Zdecydowanie. Powiedzenie sobie: niech się wali, niech się pali, trudno. Podda-

TRASA KONCERTOWA WODECKI TWIST 2023

to dziewięć koncertów w największych polskich amfiteatrach. Jedną z gwiazd wydarzenia będzie Anna Rusowicz. Artystka jest w trakcie pracy nad szóstym solowym albumem, którego premiera planowana jest na jesień. Wydawnictwo zapowiada m.in. singiel „Ciebie kochać chcę”, który ukazał się 14 czerwca, nagrany w duecie z Kubą Badachem

REKLAMA



Powieść Brown nie tylko opisuje moment zmiany, ale też sprawia, że ta zmiana jest możliwa. Na nowo napełniła mnie nadzieją w moc literatury.

ALI SMITH

WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Dorośliam do Anny.
To ten moment, kiedy
dojrzałość jest czymś
ekscytującym

i nie muszę z nią walczyć

nie się, kiedy opadłam z sił. Ludzie boją się tego najbardziej, a to wbrew pozorom jest dobry moment. Wydaje nam się, że jak utracimy kontrolę, to świat przestanie istnieć, a my się rozpadniemy na kawałki. A dopiero w tej słabości i wrażliwości jest siła. Choć faktycznie ten moment, w którym wszystko się wali, jest trudny, bo trzeba przed samym sobą przyznać, że tu i tam nie wyszło, i wziąć odpowiedzialność za to, co się nie udało. Trzeba umieć sobie powiedzieć: mogłam inaczej, lepiej, ale widocznie nie potrafiłam, w tamtym momencie robiłam to najlepiej, jak umiałam, i w to wierzyłam, a dziś wiem, że być może nie wyszło. Biorę za to odpowiedzialność. Historia jest już zamknięta i idę dalej. To przypomina proces żałoby, oplakania pewnych sytuacji i pracy ze stratą. Cały czas w życiu coś tracimy i to ważne, jak będziemy przeżywać te momenty.

Wiele kobiet tkwi w relacjach, w których jest im niewygodnie. Często ze strachu przed tym, co będzie później. Wybieramy mniejsze zło, ale, jak wspominałam, tkwienie w tej iluzji nie spowoduje, że będzie lepiej. Wiele kobiet próbuje odsunąć trudne decyzje w czasie, a tymczasem mija dzień za dniem i nic się nie zmienia. A kiedy w końcu coś się wydarza, to są to już tylko zmiany na gorsze, bo zachodzą bez naszego wpływu. Strach nas paraliżuje, ale tylko jeśli nauczymy się z nim współpracować, możemy uchronić się przed przykrymi konsekwencjami.

Ty podchodzisz do tego też trochę symbolicznie. Nie chcesz, żeby mówiono o tobie Ania, tylko Anna.

Dorośliam do Anny. To ten moment, kiedy dojrzałość jest czymś fajnym, ekscytującym i nie muszę z nią walczyć. Na świecie panuje moda na niedojrzałość. W trendzie jest wszystko, co świeże, młode, nowe, a dojrzałość jest spychana do podziemia. A wystarczy spojrzeć

na kultury bardziej rozwinięte duchowo, chociażby na rdzennych Amerykanów, żeby zobaczyć, że tam najważniejsze decyzje podejmuje starszyzna, a nie młodzież. Stawia się na doświadczenie, które jest największą wartością.

W niektórych sferach życia zaczyna to się zmieniać i u nas.

Gdy patrzę na swoje środowisko, na show-biznes, to widzę, że jednak cały czas jest parcie na młodzież, świeżą krew. Starsi artyści są spychani do lamusa, choć można się od nich wiele nauczyć, bo zjedli zęby na tym biznesie. Doświadczenie powinno być dużo bardziej doceniane, dlatego w muzyce często odnoszę się do oldschoolu i przyjaźnię się też z pokoleniem starszych artystów. Skaldowie to moi wujkowie, często widzę się z Włodzimierzem Korczem i Alicją Majewską. To niewiarygodne, jakie spojrzenie na świat mają ci ludzie, a opowiadane przez nich historie to perły.

Kiedy mówisz o swoim podejściu do starszych artystów i muzyki tamtych lat, czymś naturalnym staje się twój udział w serii koncertów Wodecki Twist.

Miałam okazję poznać Zbyszka, jego piosenki są mi bardzo bliskie i przyjaźnię się z jego córką Kasią. Przez to nie mam poczucia, że biorę udział w wielkiej imprezie, ale ma to dla mnie raczej rodzinny klimat. To uczta muzyczna, której siłą napędową jest miłość, miłość Kasi do swojego taty. A ja bardzo to czuję i doskonale rozumiem, bo jestem w podobnej sytuacji jako córka, która kochała swoją mamę. To jest niesamowite, ile rzeczy jesteśmy w stanie zrobić z miłości. Wiem, że ludzie pewnie potraktują te koncerty jako zwykłe wydarzenie muzyczne, ale dla nas to coś więcej. Zbyszek Wodecki kochał ludzi i zawsze chciał być z nimi blisko. Publiczność za tym tęskni i dzięki temu Zbyszek wciąż jest z nami. ♦

MARTA ŻMUDA
TRZEBIATOWSKA



Bliżej siebie. Imiona kobiecości

Kim jest kobieta, którą jesteś? Jaka jest? Czego pragnie? Czy jest szczęśliwa i czuje się spełniona?

Marta Żmuda Trzebiatowska w swojej debiutanckiej książce zabiera czytelniczki w wyjątkową podróż, która pozwoli odkrywać siebie kawałek po kawałku. Pokazuje jak wielka moc drzemie w każdej z nas. Dowiedz się, kim naprawdę jesteś i odkryj swoją kobiecość.



MANDO

empik

salony / online / aplikacja



NAGO. GŁOŚNO.
DUMNIE.
HBO Max

SERIAL

Kaśka zawsze była Kaśką

Samo to, że są, jest aktem politycznym. „Nago. Głośno. Dumnie” bezpretensjonalnie, ciałopozytywnie i bez stereotypów opowiada o polskim dragu i burlesce.

Nie ma lepszego czasu na premierę serialu dokumentalnego „Nago. Głośno. Dumnie” niż czerwiec, Miesiąc Dumi LGBT+. To pięcioczęściowa opowieść o polskich performerkach burleski oraz gwiazdach rodzimej sceny dragu. Nie jest to jednak serial tylko dla lewicowo-tęczowej bańki. Od melancholijnej Twojej Starej zszywającej tęczową flagę na scenie i wymownej Kali Katharsis, poprzez sypiącą konfetti Kim Lee, aż po występ Gąsia z portretem Jarosława Kaczyńskiego bohaterowie w prosty sposób wyjaśniają widzom pojęcia takie jak drag, burleska, dragleska, queer, transpłciowość i niebinarność. Te edukacyjne fragmenty są subtelne i w naturalny sposób dopełniają opowiadane historie.

Ta produkcja to jednak znacznie więcej niż ujęcia zza kulis i spod sceny. To też historia o aktywistach i aktywistkach oraz osobach LGBT+, ich miłości i drodze do samoakceptacji. Osoby LGBT+ potrzebują reprezentacji w filmach i serialach, ale reprezentacji odpowiedzialnej. Lesbijka wrzucona między inne bohaterki dla zasady to tokenizm, a gej jako najlepszy przyjaciel każdej kobiety to powielanie stereotypów. „Nago. Głośno. Dumnie” pokazuje, że osoby LGBT+, tak jak reszta społeczeństwa, różnią się między sobą. Jedni występują w dragu, drudzy kochają go oglądać, a inni uważają, że to tandeta. Opowiada o Kaśce, czyli scenicznej Katharsis, transkobiecie, performerce, która stworzyła dom dla osób transpłciowych i niebinarnych. Wigilia, którą obchodzi wspólnie ze swoimi „dzieciakami”, wzrusza, ale ważną jest też jej rozmowa o tym, że nie każda osoba transpłciowa

chce przejść operację korekty płci. Z kolei na scenie z ust Gąsia pada inne ważne zdanie – że w kwestii osób transpłciowych nie ma podziału na przeszłość i przyszłość. Kaśka zawsze była Kaśką.

Serial pokazuje też, że nie da się „wyglądać na geja”. Gąsiu ma długą blond czuprynę, a jego chłopak Paweł, pracownik banku po czterdziestce, jest muskularny, ma brodę i tatuaże. Ekstrawagancki Kim – „pół-Wietnamczyk, pół-Polka”, jedna z największych polskich drag queen – kontrastuje ze swoim partnerem, twardo stąpającym po ziemi Remkiem.

„Nago. Głośno. Dumnie” odnosi się do polskich realiów. W serialu obecne są więc ujęcia z Parady Równości, poruszono w nim także wątki polityczne i nawiązano do religii katolickiej.

Oprócz osób LGBT+ i dragu w serialu jest obecna też burleska, a wraz z nią duża doza ciałopozytywności. O tej formie sztuki opowiadają m.in. Betty Q i Pin Up Candy, czyli kobiety, bez których dziś być może nie byłoby w Polsce burleski. Oprócz nich serial pokazuje też Bunny de Lish i prowokującą aktywistkę Red Juliette. Każda z nich ma inne ciało i każda je wykorzystuje, żeby powiedzieć coś ważnego. Te performerki to kobiety nie z Photoshopa, ale z życia. Potrzęsają cellulitem, a publiczność je kocha.

To pierwszy polski serial dokumentalny zrealizowany na zlecenie HBO Max. Choć to nie jest łatwy gatunek, twórcom „Nago. Głośno. Dumnie” się udało. Historia jest opowiedziana w płynny i przemyślany sposób. Zamiast pięciu odcinków o pięciu różnych osobach dostajemy serial o społeczności. Każdy z członków i każda z członkiń tej społeczności są wyeksponowani, ale historie się spletają. Dobrze by było, gdyby algorytmy podsunęły ten serial polskim homofobom. ♦ **Zuzanna Kuffel**

FILM

Edyp z polskiej wsi



Można by tę historię opowiedzieć wprost, realistycznie, ale Justyna Łuczaj-Salej, debiutująca „Końskim ogonem” (premiera miała miejsce na 42. koszalińskim festiwalu debiutów filmowych Młodzi i Film), wybrała inną stylistykę: trochę baśniową, trochę z trashowego horroru. Tym samym w polskim kinie pojawia się nowy, wyrazisty głos. Nie każdemu ta stylistyka i język opowieści przypadną do gustu, ale jest to język odmienny, osobny, autorski. Przede wszystkim film zachwyca obrazem – od pierwszej sceny, gdy widzimy dziki jar, a w nim porzucone niemowlę, pozostawione w lesie na pewną śmierć, ale odnalezione przez wioskowego dziwaka staruszka. To dziecko będzie głównym bohaterem. Łuczaj-Salej sięga po mit Edypa. Gdy do wsi powraca po latach nieobecności tajemnicza Diana, która cierpi na zaniki pamięci, ale coś zaczyna jej się przypominać, jakaś przemoc, której tu doświadczyła, dość szybko orientujemy się, że to ona jest matką chłopca. Wiemy to my, wiedzą to ludzie we wsi, ale nie wiedzą o tym główni bohaterowie, którzy – jak w greckiej tragedii – skazani są na swój los. Film jest pełen symbolicznych wizji przywołujących dawne przesady mówiące o złych znakach, które są zwiastunami złego losu. To kolejny film wyprodukowany przez Studio Filmowe INDEKS, działające przy Szkole Filmowej w Łodzi, po filmie Jagody Szelc „Wieża. Jasny dzień”, które stawia na odważne, autorskie kino. Mam do tego filmu kilka zastrzeżeń (dla mnie jest zbyt uduchowiony), ale nie mogłam oderwać oczu od kolejnych kadrów. Strona wizualna jest porywająca, zapewne nie bez znaczenia jest to, że Łuczaj jest

malarką, ale brawa także dla Małgorzaty Szyłak, autorki zdjęć. ♦
(Paulina Reiter)

„KOŃSKI OGON”, reż Justyna Łuczaj-Salej. Kolejne pokazy filmu na festiwalu Nowe Horyzonty

FESTIWAL

Czas na Open'era



Przełom czerwca i lipca to czas, który miłośnicy muzyki popularnej spędzają, w miarę możliwości, na terenie lotniska Gdynia-Kosakowo, gdzie trwa Open'er – największy w naszym kraju festiwal muzyczny. Od lat nad polskie morze ściągają największe rodzime i zagraniczne gwiazdy, nie inaczej będzie w tym roku. Na głównej scenie wystąpią m.in. odwiedzający Polskę po raz pierwszy Amerykanie: Lizzo, wokalistka, raperka, trzykrotna laureatka nagrody Grammy, Lil Nas X, raper i aktywista LGBT+, i piosenkarka R&B SZA. Zobaczmy też m.in. Brytyjczyków z Arctic Monkeys, Kendricka Lamara uważanego za jednego z najważniejszych artystów hip-hopowych na świecie, Labrintha, który święci ostatnio triumfy ze swoim najnowszym albumem „Ends & Begins” i piosenkami ze ścieżki dźwiękowej serialu „Euforia”. W line-upie także uwielbiany w Polsce zespół Editors, Francuzka Héloïse Adélaïde Letissier znana jako Christine and The Queens, Rina Sawayama, Pink Pantheress, Queens of the Stone Age, Machine Gun Kelly, girl in red. Polskę będą reprezentowali m.in. Brodka, Bedoes, Daria Zawiałow, Kaśka Sochacka i Szczył. ♦

(Joanna Wróżyńska)

OPEN'ER FESTIVAL, 28 czerwca – 1 lipca, Gdynia-Kosakowo

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Zarząd zieleni

(Miasto. Stoję w korku. Scrolluję bezczynność. Czytam.)

Zarząd zieleni informuje. Decyzją konserwatora. Drzewa przeznaczone do. Prace polegające na. Dziś.

Te trzy topole.

(Na zdjęciu ilustrującym tekst są smukłe, wysokie. W tle morze.)

Mają przeszło sześćdziesiąt lat. Podeszły wiek odbił się na ich kondycji zdrowotnej. Są zamierające, suche w osiemdziesięciu procentach. Groźą wywrotem lub rozłamaniem.

Topole, stare i groźne.

(Pamiętam, jak ostatniego lata leżałam w ich cieniu. Nie pamiętam, żebym się bała.)

Należy dodać, że to gatunek mieszany, hodowany lata temu do produkcji papieru, a więc krótkowieczny.

Topole rosną szybko.

(Półtora mojego życia, liczę.)

Nie stwierdzono na nich występowania gatunków chronionych.

O osłabieniu drzew świadczy również duża ilość jemioli występującej na gałęziach. Prace zakończą się dzisiaj.

Topole bezbronne.

(Wciąż w korku. Brakuje mi oddechu i zieleni. Właśnie teraz postanawiam napisać wiersz o topolach. Na kartce długowiecznego papieru.)

ANNA BORKOWSKA mieszka i pracuje w Gdyni. Geografka i italianistka, zawodowo zajmuje się nowymi technologiami i innowacjami (w ramach Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego). Poetka, jej utwory były publikowane m.in. w magazynie internetowym „Helikopter”, a także w Pocztkach Literackich „Odry”

MARTA FREJ RYSUJE



Nie chodzi o rekordy, ale o przygody

Pierwszą wyprawę solo zalicza już w trzeciej klasie liceum. Jako pierwsza Polka samotnie przejdzie płaskowyż Hardangervidda w Norwegii. To niejedyny rekord

TEKST DOROTA WODECKA

Północ zaczęła się od wtopy. Po pięciu dniach wędrówki przez Spitsbergen – 20 km dziennie przy temperaturze dochodzącej do minus 30 stopni, do tego nocleg w namiocie – Joanna odmraża sobie dwa palce w prawej stopie. Helikopter przewozi ją do szpitala w Longyearbyen, gdzie lekarka potwierdza, że jeszcze jedna doba i byłoby po palcach.

– Miałam za słabe buty. Zwykle narciarskie zamiast cieplejszych i większych wyprawowych. Bez ochraniaczy z goreteksu i primaloftu. Więc może dobrze się stało, że przerwaliśmy wędrówkę, bo do następnej przygotowałam się znacznie lepiej – opowiada Joanna Mostowska, podróżniczka.

Ponownie Spitsbergen i dwukrotnie płaskowyż Hardangervidda w Norwegii pokonuje w duecie. Solo powtarza norweską trasę w pięć i pół dnia. 120 km na nartach. Nocleg jak zwykle w namiocie. Wtedy akurat nie jest bardzo zimno – od zera do minus dziesięciu, ale Joanna jest zmarznięta i marznie nawet pod ciepłym prysznicem.

Płaskowyż jest poligonem doświadczalnym dla polarników. Klimat surowy, potrafi być bardzo wietrznie. To na nim ćwiczył Roald Amundsen, gdzie zresztą prawie stracił życie.

– Najtrudniejsza była mgła. Pierwszego dnia white-out, co w slangu polarnym oznacza wrażenie, jakbyś była w białej bańce. Nie wiedziałam, czy stoję w miejscu, czy zjeżdżam w dół na nartach. Musiałam się zastrzychać i rozbić namiot, bałam się, że wpadnę w jakąś szczelinę – wspomina.

Joanna nie interesuje ustanawianie rekordów, dlatego dopiero po czasie dowie się, że jest pierwszą Polką, która samotnie przeszła płaskowyż Hardangervidda.

Również po czasie dowie się, że razem z Pauliną Pilch zostały pierwszymi kobietami na świecie, które przeszły Islandię z północy na południe w warunkach zimowych.

– W podróży chodzi mi przede wszystkim o przygody i satysfakcję, że to JA przeszłam tę drogę, z ogromnym wysiłkiem i pokonując swoje słabości. Moje wyprawy nie są miłe i przyjemne, ale lubię, jak jest trudno. Gdyby mi zależało na łatwym wypoczynku, wybrałabym się na Teneryfę i pluskała w Atlantyku – kwituje.

Pierwsze solo zalicza w trzeciej klasie liceum. W ferie zimowe wyrusza do Finlandii, za koło podbiegunowe. Bez nart, pieszo, po bezkresie, ale szlakami turystycznymi i nie pod namiot, tylko od schroniska do schroniska.

Zanim po latach wróci na Północ, spędzi dziewięć miesięcy w Azji. Pierwsze cztery miesiące – w Indiach.

W TYM CZASIE:

– jest wolontariuszką w Dharamsali, siedzi w Dalajlamy na uchodźstwie. Uczy języka angielskiego oraz pomaga w przetwórnicy papieru. Wynajmuje pokój w trzypokojowym mieszkaniu. Sąsiadem po prawej jest Polak. Po lewej mieszka mnich buddyjski, który uciekł z Tybetu przez Himalaje. Opowiada Joannie o Tybecie i uczy ją alfabetu. Dni mijają na wolontariacie i włóczenia się to tu, to tam. Bez celu, z ciekawością.

– w Waranasi uczy się przez miesiąc grać na tabli, to tamtejsze bębny. Bo w podróżowaniu chodzi również o naukę nowych umiejętności i zdobywanie wiedzy w praktyce. I znów wynajmuje pokój i się włóczy.

– Siadałam na krawężniku i godzinami wpatrywałam się w ludzi. To, co widziałam, było tak egzotyczne, że miałam wrażenie, że oglądam film. W Europie nie potrafiłabym tak patrzeć, tu muszę działać, nosi mnie – mówi.

Zdarza się, że jakiś Hindus klepnie ją w tyłek. Wtedy „trzaśnie go w ryja”. Innym razem jakiś mężczyzna łapie jej plecak i deklaruje, że zanieś go do taksówki. Szarpną się trochę, bo Aśka wie, że przy tej taksówce on będzie oczekiwał od niej zapłaty.

Kiedy nie puszcza jej torby, łapie go za kieszonkę i podnosi do góry. Jej siła robi na nim wrażenie, zostawia plecak i Aśkę w spokoju.

Z Indii leci do Tajlandii. Bangkok, wybrzeże i znów bezinteresowne szlajanie się. Śpi w hostelach i pod gołym niebem. Z Tajlandii łodzią do Kambodży, a potem autobusem do Wietnamu.

– Nie planowałam dokładnie tej trasy. Wiedziała na pewno, że chce spędzić kilka tygodni w Dharamsali, pojechać do Ladakhu w Indiach i do Tybetu. Miałam chińską wizę ważną tylko na dwa tygodnie, dlatego spontanicznie pojechałam z Chin do Hongkongu, bo wiedziałam, że tam wydają wizy sześciotygodniowe. Kiedy miałam ją wbitą w paszport, mogłam jechać do Urumczy.

Tutaj zaczyna się trzeci, dwumiesięczny etap jej wędrówki po Płaskowyżu Tybetańskim. Za 500 złotych (w przeliczeniu na złotówki) kupuje rower. Granicę Tybetu przekracza nielegalnie. Na rowerze to możliwe i w tamtym czasie prawie bezkarnie. Wystarczy, że zamelduje się w pierwszym chińskim komisariacie, na który trafi już na terytorium Tybetu, i zapłaci stówę kary, pi razy drzwi i w przeliczeniu na złotówki.

W dwa miesiące Joanna przejdzie 3,5 tys. km. Zacznie na wysokości 1200 m n.p.m., a potem coraz wyżej, do 4 tys. Kilkanaście razy na przełęczach wędruje powyżej 5 tys. Nie zawsze ma siłę pedałowac, wtedy pcha rower. I nie zawsze może jechać po kamienistych traktach.

Bagaż ma niewielki: polar, kurtka, spodnie przeciwdeszczowe, spodenki rowerowe, trzy pary majtek i trzy T-shirty (jeden na głowę, jeden na siebie, jeden do wycierania się, bo nie zabiera ręcznika). Karimata i namiot. Chyba śmieszki, bo pierwszy raz umyje się po sześciu tygodniach.

– W nocy strasznie marzłam, nie mogłam aż spać. Dobowe różnice temperatur sięgały 40 stopni C. Od minus 15 w nocy do plus 25 w dzień. Dosypiałam na karimacie, w słońcu – wspomina. – I straszliwie głodowałam. Kupiłam w Chinach mapę, ale nie pomyśla-



Nocleg w Arktyce.
Joanna Mostowska
jest zmarzluchem.
Największy chłód czuje,
gdy rozstawia namiot





Joanna Mostowska granicę Tybetu przekracza nielegalnie. Na rowerze to możliwe i prawie bezkarne (w tamtym czasie). Rower kupuje za 500 zł. W dwa miesiące przejedzie 3,5 tys. km

lam, że Chińczycy ściemniają. Nic się na niej nie zgadzało. Zamierzałam robić zakupy w osadach, ale one istniały tylko na papierze. Zdarzały się dni, kiedy nikogo nie spotykałam i nic nie jadłam. Na naprawdę czarną godzinę trzymałam kilka ciastek.

Lekcja wiary w siebie i siły? Chyba wtedy, gdy podjeżdża do chatki wypatrzonej w bezkresie. Drzwi otwiera Kirgiz i Aśce przez myśl przechodzi, że nie powinna mu ufać. Ale niepokój się rozwiewa, kiedy mężczyzna się uśmiecha i zaprasza do skromnego wnętrza.

- Poczęstował mnie jedzeniem i zaproponował, bym się przespała. Położyłam się i nagle poczułam na sobie jego ciało. W pierwszym ułamku sekundy pomyślałam, że zamknę oczy i jakoś to przetrwam, ale w kolejnym wrzasnęłam mu do ucha, najgłośniejszym jak potrafiłam. Odskokczył, a ja się zerwałam i uciekałam. Gdyby chciał, toby mnie dogonił, miał samochód, na rowerze nie miałabym przy nim żadnych szans - dodaje.

Jedzeniem dzielą się z nią spotkani po drodze pasterze. Przygotowują dla siebie i dla niej tak zwaną tsampę. Prażoną mąkę zalewają herbatą z dodatkiem masła z mleka jaka. Paskudne, o konsystencji plasteliny, ale syjące. W tybetańskich wioskach również może liczyć na skromny posiłek i posłanie. Wzrusza ją ta gościnność i rozmowy bez słów. Niekiedy traktują ją jak część rodziny i sadzają na jej kolanach dziecko.

- Na szczęście do zabawy z dzieckiem nie jest potrzebna znajomość języka - śmieje się.

Czuje wdzięczność do tych obcych ludzi, których przecież już nigdy więcej nie spotka. Rozdaje po drodze wszystkie juany, które wybrała z bankomatu. Na trasie przecież i tak nie ma sklepów.

Pokonuje ją sama, praktycznie bez zasięgu w telefonie. Przez dwa dni wędruje

z napotkanym po drodze mnichem. Odbywają pielgrzymkę wokół świętej góry Kajlas. Po drodze śpią w klasztorze. Na migi pokazuje jej, że muszą wyjść bardzo wcześnie, póki lód na przełęczach jest twardy. Za dnia topnieje, co ich narazi na niebezpieczeństwo. Są na szlaku, kiedy wstaje słońce. Góra mieni się złotem. Aśka nie może odebrać od niej oczu. Jest pięknie.

Rowerem dojeżdża do Lhasy, stolicy Tybetu, skąd po tygodniu rusza do bazy pod Everestem (z tej strony mniej wypraw dociera na najwyższy szczyt świata). Na koniec Katmandu, stolica Nepalu, gdzie sprząda już mocno zdezelowany rower.

Dziewięciomiesięczna wyprawa kosztuje ją 30 tys. złotych. Zarobiła je w Norwegii. Pracowała przez trzy miesiące w schronisku pod Galdhøpiggen.



KONKURS „NIETYPOWE MIEJSCE NA WAKACJE”

Jeśli wakacje z biurem podróży w hotelu to dla ciebie marna atrakcja, jeśli nie jesteś typem spokojnej działkowiczki, a na urlopie szukasz przygód i w tym celu wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla ciebie. Opisz najbardziej niezwykłe miejsce na wakacje. Podziel się z nami oryginalną miejscówką lub pomysłem, które poza odpoczynkiem zapewniają trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szałas, barka czy lodowy hotel za kołem podbiegunowym. Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy

- Nie zdawałam sobie sprawy, na co się piśzę, ale ostatecznie nie tylko dałam radę, ale dzięki tej podróży wzmocniłam też swoją pewność siebie. Bo byłam i jestem w stanie zadziałać w każdej sytuacji. Bywało, że byłam tak zmęczona, że rzucałam rower i płakałam. I myślałam: koniec, dalej nie mam siły. Ale przecież musiałam jechać dalej. Wtedy dowiedziałam się, że jestem w stanie znieść więcej, niż mi się wydaje, a taka pewność co do swoich możliwości pomaga w codziennym życiu. Nie poddaję się i nie zniechęcam niepowodzeniami - zapewnia.

W tej podróży Joanna zrozumiała również, że ma naturę osła, a to znaczy, że będzie szła uparcie do wytyczonego celu. I że nie czas, w jakim pokonuje drogę, jest ważny, ale droga właśnie.

Ten rozpoznany upór pozwoli jej potem biegać ultramaratony, wbiec na najwyższe szczyty Polski (333 km, 33 szczyty w czterech i pół doby) czy pokonać biegiem 500 km Głównego Szlaku Beskidzkiego.

Z pasji do podróży wziął się Południk Zero, knajpa dla obieżyświatów, którą Joanna zakłada z kolegą w Warszawie na Wilczej, a kierunek północny - z lektur i wyobraźni: Amundsen, Centkiewiczowie, aż w końcu Marek Kamiński, który samotnie wyprawił się na biegun.

- Intuicyjnie czułam, że skoro tam lekko nie jest, to powinienam się w tamte strony wybrać - mówi. Oczywiście najchętniej w pojedynkę, ale nie za każdym razem było to możliwe. Choćby dlatego, że samej trudniej uchronić się przed niedźwiedziami polarnymi. - Masz strzelbę, to oczywiste, bo bez broni władze lokalne nie pozwalają wyruszyć w bezkres. Ale broń to za mało, szczególnie jeśli nie chcesz ich zabijać. Więc albo wynajmiesz przewodnika z psem, który jest szkolony do wyczuwania niedźwiedzi, co jest drogie, albo pełnisz w nocy warty, co wcale nie umniejsza ryzyka spotkania z nimi, albo otaczasz namiot palikami, między którymi rozciągasz żyłkę. Jeśli niedźwiedź dotknie żyłki, odpalą się race umocowane na palikach. Fajnie, tylko przestraszony niedźwiedź, rzucając się do ucieczki, może równie dobrze strataować namiot - opowiada.

Zanim pokona samotnie 120 km pustki Spitsbergenu, przejdzie 250 km razem z Olą Hołdą-Michalską. Wtedy już umie obchodzić się z przeraźliwym zimnem.

- W Arktyce ważne jest, by się nie zapocic, bo jak masz mokre plecy i się zatrzymasz, to cię przewieje i katastrofa murowana. Więc przede wszystkim bardzo ciepło w stopy, bardzo ciepło w dłonie, opatulona głowa i twarz zakryta maską lub plastrami. Najlepiej trzeba się ubrać tam, gdzie masz tułów, odwrotnie niż zimą w Polsce - instruuje.

Najbardziej jednak marznie, kiedy rozstawia namiot. Dlatego najpierw wkłada na siebie wszystko, co ma – puchową kurtkę, dodatkowe spodnie i rękawice – i wypija z termosu gorącą herbatę (szykowaną rano, ze śniegu, rzecz jasna). Dopiero wtedy rozstawia namiot i wskakuje do puchowego śpiwora. Opatulona szykuje kolację. Liofilizowane gotowce zalewa wodą.

Ostatnią swoją wyprawę na Spitsbergen organizuje dla pięciu kobiet. Start w Longyearbyen. Cel – Newtontoppen, najwyższy szczyt wyspy. Muszą ją przerwać po trzech dniach. Jednej z dziewczyn siada kręgosłup. – Nie traktowałam przerwania wędrowki w kategoriach porażki. Po prostu kolejne życiowe doświadczenie.

– Mróz nie był już dla mnie wyzwaniem. Chciałam zrobić coś, czego najbardziej się bałam. Najtrudniejszy do przetrwania jest silny wiatr, a taki jest na Islandii – Aśka wspomina swój kolejny cel, który osiągnie w duecie z Pauliną Pilch.

Islandia wymaga bardzo precyzyjnego przygotowania się. Przydają się spryt i wiedza geograficzna zdobyta na studiach. Dokładne analizowanie mapy i rozkminianie, kiedy strumienie w interiorze zamarzają, a kiedy szlaki

będą niemożliwe do pokonania. Prócz przyczepionych do bioder sań dziewczyny mają też wózek na czterech kółkach i w zależności od tego, czy pokonują śnieg czy suchą ziemię, ciągną ze sobą sanie z wózkiem na górze albo wózek załadowany saniami. Do jedzenia batony energetyczne, miks orzechów z mlekiem w proszku zalany gorącą wodą na śniadanie i kasza z suszonymi warzywami zalana po śniadaniu wrzątkiem, gotowa po kilku godzinach.

Trasa 350 km zajmuje im 12 dni.

– Na początku ciśniemy na maksa, od rana do wieczora, ale jednego dnia w ogóle nie wychodzimy z namiotu, bo tak wieje. W trzy kolejne musiałyśmy zatrzymać się już wczesnym popołudniem, bo znów wiało. A najgorsze, co może na takiej wyprawie się zdarzyć, to stracić namiot porwany przez wiatr.

Siedzimy w parku nad rzeką Bystrzycą, w niewielkim miasteczku pod Wrocławiem. Joanna uczy angielskiego w tutejszej podstawówce. Ma 41 lat. Dwa lata temu okoliczności życiowe rzuciły ją z Warszawy na Dolny Śląsk. Wielomiesięczne eskapady musiała na razie zarzucić, bo rozpoczęła inną, jak twierdzi, być może najważniejszą życiową podróż. Z mężem Piotrem wychowują cztery

córki – Zosię i Marysię Joasi oraz Irenę i Albę Piotra. Każde z nich, do tej pory obciążone podwójnym rodzicielstwem, stało się odpowiedzialne za cztery życia.

– Ale podróż nie musi być daleka, żeby była fascynująca. Kupiliśmy busa i jeździmy wspinać się w skałki koło Kamiennej Góry, na szlaki w Izerach i na rajdy na orientację w dolinie Bystrzycy. Pływamy kajakami, jeździmy rowerami i biegamy. W szóstkę. Dziewczynki śpią z nami pod gołym niebem i to jest cudowne. Czasami muszę się tłumaczyć, dlaczego pozwalam dzieciom spać pod gwiazdami. Albo dlaczego jedna z nich trenuje piłkę nożną, „sport dla chłopców”.

Bardziej na miejscu byłoby zapytać, dlaczego rodzice pozwalają swoim dzieciom siedzieć całymi dniami nad tabletem, prawda? A „sport dla chłopców” to bzdura. Drużyna jest mieszana, a ich trenerka jest kobietą.

Nie opowiada córkom, że kobiety mogą wszystko, bo właściwie drażni ją ten slogan. Wyczuwa w nim podtekst, że skoro trzeba kogokolwiek przekonywać do kobiecej mocy, to znaczy, że w niektórych głowach wciąż zalega przekonanie, iż jednak nie wszystko jest im przeznaczone. Dlatego powtarzają z Piotrem swoim dziewczynom, że mogą osiągnąć wszystko. Bo każdy człowiek może wszystko. ♦

OGŁOSZENIA

KONKURS

Najdziwniejsze miejsce na wakacje? Domek na drzewie. Szalas. Barka. A może domek lodowy?

Jeśli wakacje z biurem podróży to dla Ciebie żadna atrakcja, nie jesteś typem spokojnej działkowiczki, a raczej na urlopie szukasz przygód i wybierasz nietypowe miejsca, ten konkurs może być dla Ciebie.

W najnowszym konkursie w ramach cyklu „Kobiety w podróży” chcemy poznać Wasze najbardziej nietypowe miejsca na wakacje. Podzielcie się z nami oryginalną miejscówką, która poza odpoczynkiem zapewnia trochę emocji, adrenaliny, przeżyć. Może to być domek na drzewie, szalas, barka czy hotel lodowy.

Konkurs trwa od 24 czerwca do 31 sierpnia. Żeby wziąć w nim udział, należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy.

5 zestawów do manicure hybrydowego marki NEONAIL i 5 lakierów z letniej kolekcji You're A Goddess



5 bransoletek srebrnych pozłacanych z kolekcji Simple marki YES



5 zestawów kosmetyków z serii Famille BIO marki YVES ROCHER



KOBIETY
W PODRÓŻY

PARTNERZY KONKURSU:

NEONAIL

YES

YVES ROCHER
Bretagne, France



Caponatina
della nonna
- przepis na s. 30

Sycylijska miłość

Uwielbia wyczarowywać wegańskie i wegetariańskie warianty tradycyjnych sycylijskich dań. Teraz dzieli się nimi z innymi

TEKST FRANCESCA MAUGERI HOLMSTRÖM

Pochodzę z sycylijskiej rodziny, w której kuchnia, lody, muzyka i teatr stały w absolutnym centrum. Mój ojciec prowadził w rodzinnym miasteczku Costarelli nie tylko najbardziej znaną lodziarnię, ale również lokalny teatr. Aktorzy i śpiewacy operowi często przychodzili do nas na lody po spektaklach. Nasz dom przepełniały wówczas muzyka i odświętny nastrój, a ja, z czasem, nauczyłam się zarówno pieśni, jak i przepisów. Jedzenie powstające w naszej kuchni było owiane sławą, a babcia, mama mojego ojca, uchodziła za prawdziwą mistrzynię. Dom wypełniały gościnność i miłość do gotowania. Ja sama już w dzieciństwie pokochałam gotowanie, z czasem rodziła się we mnie coraz większa ciekawość nowych smaków i przeżyłam jedne z największych doznań kulinarnych już w bardzo młodym wieku.

Zainteresowałam się gotowaniem, gdy jako mała dziewczynka chowałam się pod kuchennym stołem, by podsłuchiwać rozmowy i tajemnice dorosłych kobiet. Przyrządzając posiłki, bez przerwy rozprawały o najlepszych przepisach, produktach i najsmaczniejszych lodach. Nie brakowało również bardziej ogólnych wyznań na temat życia, miłości i codziennych spraw. Po jakimś czasie zaczęłam pomagać w kuchni, aż w końcu odbyłam roczny kurs produkcji lodów rzemieślniczych. Od tamtego czasu minęło już wiele lat, ale moja miłość do jedzenia i gotowania z roku na rok tylko przybierała na sile.

W 2005 roku przeprowadziłam się do Malmö, by pomóc synowi przedstawić Szwedom smak prawdziwych sycylijskich lodów. Produkowaliśmy je z ekologicznych składników, według tradycyjnych receptur przechowywanych w naszej rodzinie. Lodziarnia szybko stała się popularna. Wkrótce potem przeszłam na weganizm i zaczęłam organizować kursy kulinarne. Tak jest do dziś. Uwielbiam wyczarowywać wegańskie i wegetariańskie warianty tradycyjnych sycylijskich dań i z radością dzielę się nimi z innymi pasjonatami kuchni. I wreszcie nadeszła pora, by podzielić się nimi również z Wami! Buon appetito! ♦



Francesca Maugeri Holmström,
szefowa kuchni

„Być kobietą, być kobietą... w świecie skandynawskich projektów IT”

KM D Poland jest częścią Grupy KMD – jednej z największych duńskich firm IT, która od 50 lat odgrywa kluczową rolę w cyfryzacji Danii. W Polsce KMD zatrudnia ok. 600 specjalistów. Do grona pracowników polskiego oddziału należą: Ewa Mika, Scrum Master oraz Anna Plewa, QA Engineer.



Z lewej: Ewa Mika oraz Anna Plewa

Ewa Mika ze względu na zamiłowanie do przedmiotów ścisłych zdecydowała się na studia Inżynieria Nanostruktur na UW. Szybko zdała sobie jednak sprawę, że zamiast pracy w laboratorium woli stanowisko, które wymaga kontaktu z ludźmi. Równolegle ze studiami podjęła pracę w start-upie, gdzie jej głównym zadaniem była koordynacja projektów. Na kolejnych studiach z zakresu zarządzania projektami dowiedziała się o Scrumie i Agile, czyli tzw. metodach zwinnych, które są wykorzystywane w pracy nad produktami w sektorze IT. Ewa obecnie pracuje w zespole KMD Elements, który wytwarza oprogramowanie dla sektora energetycznego. Ewa jako Scrum Master zajmuje się w nim wdrażaniem praktyk Agile, które umożliwiają szybkie reagowanie na zmiany. Zapytana o wyzwania z jakimi musiała się zmierzyć zaczynając pracę w branży IT, Ewa wspomina, że jako młoda kobieta w IT, musiała znaleźć swój sposób na tzw. „przebicie się” i budowanie autorytetu w branży, w której większość stanowią mężczyźni. Zapytana o cechę, która jej zdaniem może wyróżniać kobiety w środowisku IT oraz poza nim, wymienia potencjalnie większą inteligencję emocjonalną, która może ułatwiać kobietom umiejętne czytanie emocji.

Anna Plewa pracuje w KMD jako QA Engineer. Początkowo studiowała Europeistykę wschodniostowiańską, a następnie Metody ilościowe w ekonomii i systemy informacyjne na SGH. Za sprawą swojego brata – programisty zainteresowała się testami. Jak wspomina, początkowo nie interesowało jej programowanie, ale bardziej chciała zgłębić perspektywę użytkownika aplikacji. Swoją przygodę w tej dziedzinie rozpoczęła na studiach, gdzie jako freelancer sprawdzała poprawność wyszukiwań w Google. Po studiach zaczęła pracę w instytucji publicznej jako redaktor, aby po jakimś czasie zostać testerem, a następnie testerem automatycznym. Ania bierze udział w całościowym procesie wytwarzania oprogramowania, przeprowadza testy, wykorzystując swoją wiedzę w zakresie różnych technologii i języków programowania. Zapytana o trudności, jakie miała na początku swojej kariery w IT mówi o tym, że postrzegала samą siebie jako osobę „nietechniczną”. Po zgłębieniu tematu programowania stwierdziła, że pisanie kodu może być zrozumiałe dla każdego, aczkolwiek wiele zależy od determinacji w nauce. Jak mówi Ania, aby pracować w IT, nie ma znaczenia czy jesteś kobietą czy mężczyzną, musisz być po prostu bystrą osobą gotową na wyzwania.

CAPONATINA DELLA NONNA

Caponata babci (dla 6-8 osób)

Caponata to tradycyjny sycylijski gulasz warzywny przyrządzany w najróżniejszych wariantach. Praktycznie każda rodzina ma swój własny przepis. Podstawowymi składnikami są bakłażany i kapary, do których dodaje się inne warzywa. Caponata doskonale nadaje się na przystawkę lub jako dodatek do rozmaitych dań.

4 bakłażany, sól gruboziarnista, **6-8** łyżek selera naciowego, **4** papryki w dowolnym kolorze, pokrojone w kosteczkę, **1** cebula, **1** łyżka przecieru pomidorowego, **100 g** zielonych oliwek, **2** łyżki kaparów, **50 g** rodzynek, **100 ml** octu z czerwonego wina, **4** łyżki cukru, **2** gałązki bazylii, **1** gałązka mięty, garść uprażonych migdałów, oliwa z oliwek, sól i pieprz do smaku

Oplucz bakłażany, potem pokrój je na duże kawałki i ob-syp solą. Odstaw na 30 minut. Oplucz łyżki selera, pokrój je na drobne kawałki, wrzuć na gotującą osoloną wodę i gotuj przez 5-10 minut. Odcedź i osusz seler papierowym ręcznikiem. Rozgrzej na patelni trochę oliwy i podsmaż seler na złotawy kolor. Na drugiej patelni na sporej ilości oliwy podsmaż paprykę. Oplucz bakłażany z soli. Upraż migdały na suchej patelni, mieszaj je raz po raz i zdejmij z ognia, kiedy nabiorą złotawego koloru. Na kolejnej patelni (jeśli nie masz ich aż tyle, możesz przekładać usmażone warzywa do misek) w sporej ilości oliwy usmaż bakłażany. Następnie przelóż je do miski, oszczędź oliwę na patelni. Wrzuć na nią pokrojoną w krążki cebulę, podsmaż, potem dodaj przecier pomidorowy, bakłażany, seler, paprykę, oliwki, kapary, rodzynek, ocet i cukier. Dopraw solą i pieprzem. Gotuj na małym ogniu przez kilka minut. Na koniec posyp listkami bazylii, mięty i grubo posiekаныmi migdałami. Ostudź przed podaniem.

**PASTA ALLA SICILIANA** Makaron po sycylijsku z fenkułem i pomarańczą (dla 4 osób)

500 g makaronu casarecce (ew. penne)
4 fenkuły (z łyżkami i koperkiem)
40 g posiekanych migdałów
2 małe czerwone cebule
1 mała pomarańcza, oliwa z oliwek, sól i pieprz do smaku

Oczyść fenkuły, oplucz je i pokrój na cieniutkie plasterki. Łodyżki

(z zielonym koperkiem) również pokrój i odłóż na bok. Upraż migdały na suchej patelni, mieszaj je raz po raz, by się nie przypaliły, ale nabrały złocistego koloru. Przygotuj drugą patelnię, wlej na nią 3 łyżki oliwy i podsmaż na małym ogniu cebule pokrojone na cieniutkie plasterki. Dodaj fenkuły i podsmażaj jeszcze przez chwilę. Dopraw solą i pieprzem,

po czym gotuj na małym ogniu przez co najmniej 10 minut. Ugotuj makaron al dente w dużej ilości osolonej wody. Następnie go odcedź i przelóż na patelnię z koperkiem. Zetrzyj skórkę z pomarańczy i wyciśnij sok. Skrop nim makaron, a potem posyp skórką, migdałami i zielonym koperkiem. Dobrze wymieszaj i podsmażaj jeszcze przez kilka minut. Podawaj na ciepło.

LASAGNE AI FUNGHI PORCINI Lasagne z borowikami (dla 4-6 osób)

SOS BESZAMELOWY:
1 litr mleka, **100 g** masła
100 g (ok. 150 ml) mąki pszennej
 odrobina gałki muszkatołowej, sól i pieprz
50 g suszonych borowików
 duży pęczek zielonej pietruszki
2 ząbki czosnku
300 g świeżych grzybów
1-2 paczki świeżego ciasta na lasagne (łącznie 400-500 g)
 oliwa z oliwek, starty parmezan

Podgrzej mleko na małym ogniu. W osobnym rondlu roztop masło, dodaj mąkę i energicznie wymieszaj

trzepaczką. Powoli dolej ciepłe mleko, dokładnie wymieszaj i zagotuj. Dopraw gałką muszkatołową, solą i pieprzem. Zalej suszone grzyby wodą i odstaw na co najmniej 15 minut. Posiekaj pietruszkę, czosnek, podziel na dwie równe części i połowę podsmaż na oliwie na patelni. Dodaj namoczone, odcedzone grzyby. Wymieszaj i podsmażaj jeszcze przez chwilę. Następnie przelóż zawartość patelni do garnka z sosem, wcześniej odejmij trochę sosu i odłóż na później. Pozostałe świeże grzyby podsmaż z resztą pietruszki i czosnku. Przygotuj formę do pieczenia. Na dnie ułóż plastry ciasta, nałóż na nie warstwę sosu z suszonymi borowikami, a potem trochę grzybów z patelni.

Rób tak, aż powstanie kilka warstw. Na wierzchu zostaw makaron i polej go odłożonym sosem. Posyp dużą ilością parmezanu. Wstaw do piekarnika rozgrzanego do 200 stopni i zapiekaj około 20 minut.



Przepisy i fragment tekstu pochodzą z książki „Wegetariańska Sycylia”, **FRANCESCA MUGERI HOLMSTRÖM I LOUISE MALMROS MANFRINATO**, wyd. Buchmann





NAM TO NA RĘKĘ

Założycielka Handy Lab na pomysł stworzenia marki wpadła w czasie pandemii, gdy o ręce trzeba było dbać wyjątkowo. Teraz powstały silnie odżywcze maski w rękawicy (Extreme Retinol lub Hyaluron). A także rytuał do dłoni White Moon Handy Lab dostępny w Clarins Beauty Spa w Warszawie (wiecej.nahandylab.pl).



KROPLA KOLORU

Na pewno macie swoje rytuały. Moim jest kropla samoopalacza dodana co wieczór do kremu. Krople samoopalające ma w ofercie m.in. Drunk Elephant. Podobno D-Bronzi Sunshine Drops, bogate w oleje z maruli i pestek porzeczek oraz peptydy, znikają z magazynów jak świeże bułeczki. Podobnie jest z O-Bloos Rosi Drops, skoncentrowanym różem w kroplach (30 ml / 189 zł, Sephora).



SŁOŃCE BEZ LIMITU

Codzienny nawyk spryskiwania się perfumami to ulubiony rytuał wielu z nas. A woda toaletowa Ilio (grec. słońce) już po raz trzeci jest w letniej limitowanej kolekcji Slow Summer Diptyque. Tym razem zapachowi Ilio towarzyszą dodatki – wachlarz i dyfuzor do domu. Co roku kolekcja ma inną oprawę graficzną. Sercem zapachu jest opuncja (100 ml / 665 zł, galilu.pl).



MASKA NA MAKSA

Jeśli ktoś farbuję włosy, wie, że dbanie o kolor to więcej niż rytuał, to konieczność. Która jednak może być miłym rytuałem, jeśli używamy przyjemnych kosmetyków. Nowa maska do włosów kolorowanych Sisley marki Hair Ritual ma obie te zalety. Jest kojąca dla skóry głowy, odżywia włosy, luksusowo pachnie, a kolor się utrzuwa (200 ml / 410 zł).

DOBRA KARMA

Jednym z najlepszych kosmetycznych rytuałów według dermatologów jest codzienne nakładanie na skórę filtrów przeciwsłonecznych. A marką specjalizującą się w rytuałach jest (jak sama nazwa wskazuje) – Rituals. Połączenie tych dwóch rzeczy znajdziemy w nowym kremie nawilżającym do twarzy z filtrem SPF 50+ z odnowionej serii The Ritual of Karma (50 ml / 69 zł).



NAWILŻANIE DO OPORU

Czy jest ktoś, dla kogo nawilżanie skóry nie jest codziennym rytuałem? Wątpię. Dlatego coraz nowsze serie kosmetyków nawilżających mają sens i są „na prosię”. W skórze może się gromadzić nawet 6-8 litrów wody. Każdy spadek tej ilości prowadzi do jej przesuszenia, pęknięcia i łuszczenia. Nowa seria Yves Rocher Hydra Végétal zawiera wyciąg z sukulentu edulisa (od 49,90 do 79,90 zł).

Ciąg dalszy nastąpi

Polki w wieku postmenopauzalnym coraz częściej chorują i umierają z powodu nowotworu trzonu macicy. Ważne, żeby po menopauzie nie przestawały się badać

Z DR N. MED. ANNA DAŃSKA-BIDZIŃSKA,
GINEKOLOGIĄ ONKOLOGIĄ,
ROZMAWIA ALINA MROWIŃSKA
RYSUNEK MAGDALENA PANKIEWICZ

Kiedy kończy się menopauza?

Menopauza to dokładnie ostatnia miesiączka w życiu kobiety. Jeśli po niej przez okres 12 miesięcy nie pojawia się krwawienie, przyjmuje się, że kobieta jest już w okresie postmenopauzalnym. Każde krwawienie czy plamienie, które wystąpi później, należy traktować jako nieprawidłowe i zgłosić się do ginekologa.

Czyli najczęściej kobieta jest już po menopauzie w wieku pięćdziesięciu kilku lat?

Statystycznie tak. Średnio kobiety miesiączkują do 51, 52. roku życia, niemniej jest grupa pań, które miesiączkują regularnie kilka lat dłużej.

Dziś dużo mówimy o menopauzie, a ten czas po niej jakby nie istniał w życiu kobiety.

Tymczasem średnia wieku nam się wydłuża i od ostatniej miesiączki jest jeszcze nawet 30 lat życia. To oznacza, że jedna trzecia przypada na czas po menopauzie. Prawie wcale się o tym nie mówi. Ale wierzę, że to się zmieni. O menopauzie też jeszcze 30 lat temu niewiele mówiono, uważano ją za początek starości.

Okres postmenopauzy to czas na własne pasje, realizację marzeń. Pod warunkiem, że kobieta nie da się wpędzić w kierat obowiązków. Moja nieżyjąca już, niestety, mama do końca życia prowadziła zajęcia z tańca terapeutycznego na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Gorzowie Wielkopolskim. Te regularne spotkania, wyjazdy na pokazy ogromnie dużo dla wszystkich uczestniczek znaczyły. Przez prawie 20 lat powstała mała społeczność. Pamiętam, że kiedy mama już przestała pracować, bo była chora, w dniu imienin odebrała 154 telefony z życzeniami. Widziałam, jaka jest ważna dla tych kobiet, z którymi miała zajęcia, i jakie ważne były dla niej one oraz to, co wspólnie tworzyły. Potrzeba nam czegoś więcej niż tylko domu i pracy, a okres postmenopauzalny daje nam na to czas, bo obowiązków, teoretycznie, jest mniej.

Co się dzieje w organizmie kobiety w okresie postmenopauzy?

Obniża się produkcja estrogenów i progesteronu, stężenie hormonu FSH ulega 10-krot-

nemu podwyższeniu. Spadek poziomu estrogenów ma ogromny wpływ na nasz metabolizm, tkankę tłuszczową oraz uczucie głodu i sytości. Główne typowe objawy menopauzy związane z niedoborem estrogenów, jak uderzenia gorąca, napaadowe poty nocne, na które skarży się około 80 proc. kobiet, uczucie zmęczenia, drażliwość, kołatanie serca czy nietrzymanie moczu, mogą mieć różne nasilenie i czas trwania. Mogą się ujawnić już około pięciu lat przed menopauzą i trwać nawet do pięciu lat po niej.

Do 10 lat od ostatniej miesiączki jajniki produkują androgeny, czyli męskie hormony płciowe. Nie wydzielają ich więcej niż wcześniej, ale ponieważ dramatycznie obniża się poziom żeńskich hormonów, to działanie androgenne może być w okresie postmenopauzy widoczne. U niektórych pań pojawia się owłosienie na twarzy, np. wąsik, przerzedzają się włosy, obniża się głos. Jajniki wyraźnie się zmniejszają. U młodej kobiety ważą około 11 g, po 60. r.ż. - około 4 g. Wielkością przypominają pestkę śliwki węgierki. Macica się obkurcza, robi się mniej elastyczna i również się zmniejsza - z 58 g w wieku 40 lat

nie istnieje górna granica wieku pacjentek mogących

odnosić korzyści z HTM

do mniej więcej 38 g w wieku 70 lat. Jeżeli wcześniej u pacjentki stwierdzono mięśniaki macicy, to po menopauzie powinny stopniowo się zmniejszać, a czasem nawet zanikać. Zanikają błony śluzowe narządów rodnych.

Tak jak twarz i ciało nasz układ rozrodczy ulega procesowi starzenia.

Tak, ale o ile kobieta nie będzie odczuwała, że jej macica jest mniej elastyczna, a jajniki mniejsze, o tyle zmiany zanikowe w obrębie śluzówki pochwy, sromu mogą być bardzo dokuczliwe. Określamy je zespołem urogenitalnym związanym z atrofią postmenopauzalną spowodowaną niedoborem estrogenów. Cierpi na nią ponad połowa kobiet. Panie odczuwają świąd, pieczenie, suchość pochwy podczas współżycia, oddawania mo-

czu, uprawiania sportu, a zdarza się, że nawet podczas codziennych czynności. Śluzówka pochwy jest cienka i przez to podatna na urazy, otarcia, co sprzyja rozwojowi różnych infekcji.

Atrofia pochwy to wielki problem, kobiety piszą o tym na forum ginekologicznym.

Skarżą się na ból podczas stosunku, na swędzenie, które utrudnia nawet poruszanie się.

Może ona powodować nasilone dolegliwości bólowe podczas stosunku. 10 lat po menopauzie bolesność podczas współżycia płciowego zgłasza ponad 80 proc. aktywnych seksualnie kobiet. I zdarza się, że przez to panie rezygnują z seksu. A tak przecież nie musi być. Seks nadal przez wiele lat może się wiązać z przyjemnością, tym bardziej że nie jest już problemem antykoncepcja.

Jak możemy zaradzić atrofii?

Wszystko zależy od tego, jakie schorzenia współistniejące ma pacjentka i czy jest w trakcie hormonalnej terapii menopauzalnej (HTM). Zwykle zaczynamy od dopochwowych globulek nawilżających z kwasem hialuronowym oraz kremu czy żelu na okolice sromu i wejścia do pochwy. Na rynku jest wiele preparatów, większość jest dobra, a stosowane systematycznie są skuteczne.

Co to znaczy systematycznie?

Początkowo przez 10, maksymalnie 20 dni globulki stosujemy codziennie na noc, potem wystarczy podtrzymująco dwa-trzy razy w tygodniu. Nie należy stosować globulek jednorazowo, doraźnie, kiedy dolegliwości powodują duży dyskomfort, bo wtedy objawy zostaną jedynie chwilowo złagodzone i powrócą. Globulki z kwasem hialuronowym są bezpieczne, nie powodują istotnych działań niepożądanych. Jeżeli taka terapia okaże się nieskuteczna, możemy zalecić miejscową terapię hormonalną w postaci niewielkiej dawki zmikronizowanego estradiolu czy estriolu podawanych dopochwowo. To doskonałe leki w przypadku dużej atrofii pochwy, a ogólnoustrojowo wchłaniają się w bardzo niewielkim procencie. Mogą być stosowane również u pacjentek, które mają onkologiczne przeciwwskazania do doustnej czy przezskórnej hormonalnej terapii menopauzalnej.



Czy zabiegi laserowe są skuteczne w leczeniu atrofii pochwy?

Obkurczają mięśnie pochwy, a tym samym poprawiają napięcie i elastyczność. Ginekolodzy nazywają je „odmładzaniem pochwy”. Jeżeli atrofii nie towarzyszy znaczne obniżenie macy, które należy leczyć chirurgicznie, laser jest skuteczny. To też profilaktyka w przypadku niewielkiego nietrzymania moczu. Ale zabiegi laserowe nie są, niestety, refundowane przez NFZ.

A co z hormonalną terapią menopauzalną? Jak długo może być stosowana?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Czasem próbujemy ją odstawić po dwóch latach, czasem po pięciu, ale nie zawsze jest to możliwe, niektóre pacjentki bez niej natychmiast zaczynają odczuwać duże dolegliwości. Są pacjentki, które jeszcze w wieku 70, a nawet 80 lat mają nieprzyjemne uderzenia gorąca. Preparaty hormonalne są teraz dużo bezpieczniejsze niż 20 lat temu. Nie istnieje coś takiego jak limit długości stosowania czy górna granica wieku pacjentek mogących odnosić korzyści z tej terapii.

Z badań wynika, że z wiekiem rzadziej odwiedzamy ginekologa. Powinniśmy do końca życia raz w roku, tak jak wcześniej?

Jak najbardziej, wiele nowotworów rozwija się z upływem czasu. Niestety, nadal niektóre kobiety mają zakodowany pogląd, iż wraz z ostatnią miesiączką ginekolog nie jest im już potrzebny. To duży błąd.

Babcia mojej koleżanki, pod dziewięćdziesiątkę, mówi, że chętnie poszłaby do ginekologa, ale obawia się, że sobie nie poradzi z wejściem na fotel.

Rzeczywiście, panie w starszym wieku, nawet kiedy wejdą na fotel, mają trudności z prawidłowym ułożeniem się do badania, a potem z zejściem. I bardzo często z tego powodu rezygnują z wizyt u ginekologa. Badanie ginekologiczne u starszych kobiet, ze względu na suchość i małą elastyczność pochwy, często sprawia dyskomfort. Zdarza się, że nabłonek jest tak delikatny, że przy założeniu wierzniaka ulega otarciui i zaczyna krwawić. Kiedy pacjentka ma problemy ruchowe, można ją zbadać na kozetce. W takiej sytuacji trzeba maksymalnie wspierać i pomagać, jej przyścisnąć to już spory wysiłek. Jako lekarze próbujemy nie narażać jej na dyskomfort w trakcie badania. Tylko cytologii nie da się pobrać poza fotelem.

Na jakie choroby jesteśmy bardziej narażeni w okresie postmenopauzy?

Zmniejsza się elastyczność i rozluźnia struktura wszystkich tkanek, dlatego jesteśmy bardziej narażeni na obniżanie się i wypadanie pochwy i macicy. To zdarza się też wcześniej



DR N. MED. ANNA DAŃSKA-BIDZIŃSKA

– specjalistka ginekolożka położnicza, ginekolożka onkolożka, pracuje na oddziale onkologii ginekologicznej w Szpitalu Klinicznym im. ks. Anny Mazowieckiej w Warszawie. Specjalizuje się w leczeniu skojarzonym nowotworów kobiecych

u kobiet, które rodziły kilkakrotnie, przeszły przez długie, ciężkie porody, urodziły dzieci o dużej masie. We wczesnym stadium pomagają miejscowe leczenie hormonalne, ćwiczenia mięśni Kegla oraz coraz bardziej popularna fizjoterapia uroginekologiczna.

Bardzo często panie borykają się też z nietrzymaniem moczu. To najczęściej występująca choroba przewlekła u kobiet po menopauzie. Częstość jej występowania jest niedoszacowana, ponieważ niektóre kobiety traktują objawy jako wstydlive i je ukrywają.

Na co jeszcze jesteśmy bardziej narażeni?

U kobiet w okresie menopauzalnym i późniejszym wyraźnie wzrasta zachorowalność na choroby sercowo-naczyniowe, w tym miażdżycę i chorobę niedokrwienną serca. Wzrasta też poziom cholesterolu LDL, tzw. zły cholesterol, i spada „dobry cholesterol” HDL. Prowadzi to do tworzenia się blaszek miażdżycowych zewężających nie tylko naczynia wieńcowe, odżywiający serce, ale też naczynia doprowadzające krew do kończyn czy mózgu.

W wyniku otyłości i hipercholesterolemii może się rozwinąć cukrzyca typu 2, nadciśnienie tętnicze, kamica żółciowa.

Inną grupą schorzeń są osteopenia i osteoporoza pomenopauzalna, czyli choroba układu szkieletowego charakteryzująca się niską gęstością mineralną kości oraz upośledzeniem mikroarchitektury tkanki kostnej, co w konsekwencji zwiększa ryzyko złamań.

Wróćmy do nietrzymania moczu. Czy nie jest tak, że gdy objawy nie są nasilone, kobiety mogą wręcz się do nich przyzwyczaić?

I traktować je jako naturalne, nieuchronne, związane ze starzeniem się. Tak nie jest. Nietrzymaniu moczu można zaradzić. Żeby skutecznie leczyć, najpierw należy rozpoznać, z jaką postacią mamy do czynienia – wysiłkową, mieszaną czy parciem nagłym. Wywiad z pacjentką jest najważniejszy i musi być bardzo dokładny. Oprócz badania ginekolo-

gicznego lekarz czasem może zalecić badania urodynamiczne, które pozwolą na jednoznaczną ocenę. Wysiłkowe nietrzymanie moczu, pojawiające się podczas wysiłku, kaszlu, kichania, można leczyć chirurgicznie z bardzo dobrym skutkiem. W innych przypadkach zabieg chirurgiczny może być mniej skuteczny, bardziej mogą pomóc środki farmakologiczne.

Tabletki bez recepty też mogą pomóc?

Nieco zwiększają napięcie mięśni pęcherza moczowego i dna miednicy, przy mało nasilonych objawach mogą pomóc. Warto te preparaty łączyć z kontrolą masy ciała, aktywnością fizyczną i ćwiczeniami mięśni Kegla.

Krwawienie po menopauzie jest objawem poważnej choroby?

Niekoniecznie. Najczęstszym powodem krwawienia jest atrofia endometrium. Błona śluzowa macicy staje się coraz cieńsza, kruche naczynia krwionośne pękają i może dojść do plamienia czy niewielkiego krwawienia, zwłaszcza po wysiłku fizycznym. Ale to może być też objaw rozrostu lub raka trzonu macicy, który jest chorobą w większości przypadków występującą u kobiet w wieku 55-70 lat. Tylko 5 proc. chorych to kobiety poniżej 40. roku życia. Jeszcze raz podkreślę, że żadnego krwawienia z dróg rodnych nie należy lekceważyć, zawsze konieczna jest wizyta u ginekologa.

Przez kilka lat aż o 10 proc. wzrosła w Polsce śmiertelność z powodu raka trzonu macicy. Czym to można tłumaczyć?

Liczba zachorowań właściwie podwoiła się w ciągu ostatnich 20 lat, a wraz z nią liczba zgonów. To dramatyczne dane. W 1999 roku w Polsce odnotowano 3260 zachorowań na raka trzonu macicy, natomiast w 2019 roku już 6023. W Europie jedna do dwóch kobiet spośród stu zachoruje w ciągu życia na raka trzonu macicy. W Unii Europejskiej co roku ponad 88 tys. kobiet słyszy tę diagnozę. Liczba zachorowań wzrasta w większości krajów Europy. Przy czym w Polsce obserwuje się ostatnio wzrost liczby zgonów właśnie w grupie powyżej 65. roku życia. Trudno jednoznacznie wskazać przyczynę, składa się na to wiele czynników. Jedną z przyczyn może być rozproszenie leczenia onkologicznego, zwłaszcza na etapie diagnostyki, i dalej leczenia chirurgicznego. Dużo już wiemy o raku trzonu macicy, w ciągu ostatnich lat dokonał się ogromny postęp w diagnostyce. Zidentyfikowane zostały typy molekularne, a to znaczy, że dwa takie same „przypadki” histopatologiczne mogą się różnić molekularnie, mają różne czynniki ryzyka nawrotu choroby i podlegają innemu leczeniu. Dlatego też tak ważny jest „początek” drogi onkologicznej w raku trzonu macicy. Dobrze, jeśli odbywa się w wyspecjalizowanym ośrodku oferującym

nie tylko różne metody leczenia, ale również lub przede wszystkim nowoczesną diagnostykę histopatologiczną, dostęp do diagnostyki molekularnej i wreszcie badania obrazowe niezbędne przed ustaleniem planu leczenia i jego rozpoczęcia.

Ze względu na dobrą refundację procedur onkologicznych wiele szpitali niedostatecznie przygotowanych rozpoczyna leczenie chorych onkologicznych – z różnym skutkiem. Niestety, starsze pacjentki, które mieszkają w małych miejscowościach, mają ograniczony dostęp do większych ośrodków bez wsparcia rodzin. Bo nie ma autobusów, pociągów. Wykluczenie komunikacyjne dużej części Polski ma również wpływ na jakość leczenia.

A co z profilaktyką raka trzonu macicy?

Na zachorowanie bardziej narażone są panie z otyłością. Czynnikiem ryzyka jest też cukrzyca, która zmienia zarówno stężenie estrogenów, jak i ich działanie. Profilaktyka raka trzonu macicy, którą można zastosować po menopauzie, to dbanie o prawidłową masę ciała, aktywność fizyczna i regularne wizyty u ginekologa. To jedyne, co możemy zrobić.

Mówiła pani o rozproszeniu onkologicznym. To ma wpływ także na wysoką śmiertelność raka jajnika.

To prawda. W USA i Europie Zachodniej jest około 50 ośrodków wyspecjalizowanych w leczeniu raka jajnika. I jeżeli pacjentka do nich trafi nawet w trzecim stopniu zaawansowania choroby, ma 70 proc. szans na przeżycie pięciu lat. W Polsce są jedynie trzy ośrodki z akredytacją do leczenia tego nowotworu. Warto w sytuacji zachorowania na raka jajnika poszukać dużego ośrodka, który przeprowadza wiele operacji z zakresu ginekologii onkologicznej, a także oferuje szeroką diagnostykę, w tym genetyczną, i leczenie skojarzone. Chore nawet z zaawansowanym rakiem jajnika, jeśli są od początku odpowiednio leczone, mogą żyć kilkanaście lat.

Rak jajnika najczęściej jest związany z okresem postmenopauzy?

Nie tak jednoznacznie jak większość zachorowań na raka trzonu macicy. 50 procent zachorowań na raka jajnika, jajowodu i otrzewnej jest związane z mutacjami genetycznymi, w tym 25 proc. z patogennymi mutacjami w genach BRCA1/2, które stwierdza się nawet u młodych kobiet. Rak jajnika rozpoznawany jest najczęściej już w zaawansowanym stadium. Pierwszym sygnałem mogą być niecharakterystyczne objawy związane z przewodem pokarmowym, jak uczucie pełności, wzdęcia, bóle brzucha, puste odbijania. Nie

należy tego lekceważyć. Również zwiększenie obwodu brzucha powinno zaniepokoić. Może oznaczać wzrost masy ciała, ale może być to objaw wodobrzusza, które występuje w zaawansowanym raku jajnika. Wiele lat temu mówiło się, że raka jajnika często pierwsze rozpoznają krawcowe, bo powiększył się obwód brzucha klientki podczas przymiarki.

Jakie badania zleciłaby pani jako obowiązkowe w okresie postmenopauzy?

Co roku wizyta u ginekologa, raz na trzy lata cytologia szyjki macicy, a raz na dwa lata mammografia. Badania w kierunku cukrzycy, układu sercowo-naczyniowego, osteoporozy, ocena funkcjonowania tarczycy, nerek, wątroby – pełna morfologia, lipidogram, TSH, densytometria, czyli ocena gęstości mineralnej kości, ocena poziomu sodu, magnezu, potasu, które są ważne dla funkcjonowania układu nerwowego i mięśniowego. A także kolonoskopia i badanie poziomu witaminy D3.

I jeszcze jedna niezwykle ważna kwestia – w okresie postmenopauzy może się nasilać depresja, zwłaszcza u pań, które wcześniej miały do niej skłonność. Ważna jest współpraca ginekologa i psychiatry, aby odpowiednio zróżnicować objawy wynikające z niedoboru estrogenów i z depresji. ♦

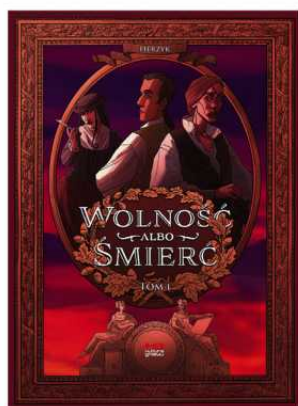
REKLAMA

Nominacje

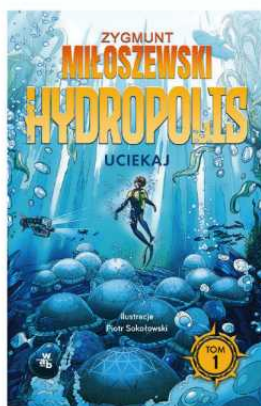
M Literacka
Podróż
Hestii



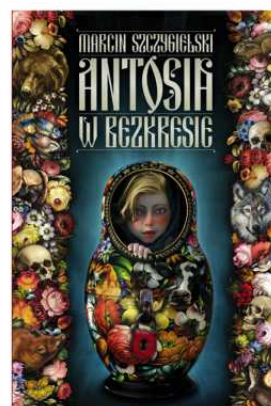
Andrzej Marek Grabowski
Biurowie dzieci znalezionych



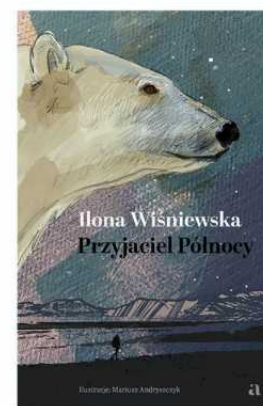
Aleksandra Herzyk
Wolność albo śmierć



Zygmunt Miłoszewski
Uciekaj. Hydropolis



Marcin Szczygielski
Antosia w bezkresie



Ilona Wiśniewska
Przyjaciel Północy

Mecenas

Organizatorzy

ERGO
HESTIA



w.s.

FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

literackapodrozhestii.pl

Pełna afirmacja życia

Rodzice byli ze mnie dumni. Lekarz w rodzinie to skarb.
Nawet na szpilkach

Z ERYKIEM MATUSZKIEWICZEM
ROZMAWIA MIKE URBANIAK

P

Przyszedłem zajrzeć do twojej szafy.

Bardzo proszę, ale uprzedzam, że jest w niej spory nieporządek i głównie rzeczy, których nie noszę. Te noszone są najczęściej poza szafą, jak ten stos butów w pudełkach zalegających - jak widzisz - pod ścianą. Ciągłe zabieram się do porządków, ale potem niczego nie chcę się pozbywać, bo nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

Zacząłem od szafy, bo w Poznaniu jest legendarna.

Coś podobnego!

Słyszałem o sukniach, kapeluszach, mufkach, etolach i fascynatorach.

I owszem, zdarzają się. Mam bowiem kostiumy na rozmaite okoliczności: na bardziej i mniej poważne, do pracy i na spacer, na rewię i na koktajl.

Te rewiewe są oddzielone od codziennych?

Nie, wszystko jest wymieszane. Nie dzielę życia na dwa.

Po raz pierwszy zobaczyłem cię kilka lat temu na premierze w Teatrze Polskim w Poznaniu. Byłeś w pięknej czarnej sukni wieczorowej, fantazyjnej kolia i szpilkach.

Teatr zobowiązuje, no i artystyczna atmosfera pozwala na odrobinę ekstrawagancji.

Wystąpiłeś w tej kreacji bez obaw?

Jak się czegoś bardzo chce, pragnienie jest tak silne, że przytępią nieraz myślenie o konsekwencjach, a rozsądek schodzi na plan dalszy. Nigdy nie myślę, wkładając szpilki, że ktoś mnie zwymyśla albo pobije. Nigdy nie patrzyłem na to przez pryzmat strachu. Być może także dlatego, że nie byłem nigdy, na szczęście, ofiarą. Myślisz, że to usypia czujność?

Myślę, że może usypiać ją bańka, w której funkcjonujesz.

Nie da się ukryć, że przebywam głównie wśród ludzi reprezentujących pewien poziom intelektualny i światopoglądowy, w którym mieszczą się także ja. Choć pewnie mam też w otoczeniu ludzi niebędących entuzjastami moich metamorfoz, ale przymykają na nie oko, bo nie wypadaloby powiedzieć czegoś złego. Pomaga mi również być może to, że nie prowadzę żadnej krucjaty, ale traktuję te swoje okolicznościowe przebieranki jako żart i dobrą zabawę.

Nigdy nie fuknęła na twój widok żadna poznańska pani Dulska?

Próbuję sobie teraz coś przypomnieć, ale nie jest łatwo. Kiedyś na imprezie po pokazie mody w Starym Browarze pewna pani zrobiła mi zdjęcie i opublikowała na Facebooku z komentarzem oburzenia, że co to za dziwadło. Skończyło się na tym, że to ją skrytykowano.

A w szpitalu czy na uczelni - bo jesteś lekarzem i nauczycielem akademickim - nikt cię nie przywołał nigdy do porządku?

Widzę, że nie ustępujesz.

Bo, mówiąc szczerze, wierzyć mi się nie chce.

W to, że nikt mnie w Poznaniu nie prześladował? Muszę cię rozczarować. Nikt nigdzie nie robi mi żadnych wyrzutów. Mam znakomite relacje z kolegami i koleżankami w Szpitalu Miejskim im. Raszei, gdzie lecę, i na Uniwersytecie Medycznym, gdzie mam zajęcia. Nawet w pogotowiu uchodzącym za szkołę życia dla twardzieli, gdzie mam dyżury. Kiedy koleżanka zamieściła na Facebooku moje zdjęcie w butach na obcasie, koledzy z pogotowia spytali tylko, czy nie było bardziej męskich. I się pośmialiśmy.

Nie bałeś się ani razu o karierę?

Kiedyś usłyszałem tylko od byłej szefowej, u której robiłem specjalizację z interny, że jestem zbyt zabawowy i że ona po skończeniu specjalizacji mi już podziękuje. Możemy się zastanowić teraz wspólnie, co znaczyło dla niej słowo „zabawowy”.

„Zabawowy” to po angielsku „gay”.

A może to jest moja nadinterpretacja? Może zwyczajnie nie pasowałem do jej stereotypowego wizerunku poważnego lekarza? Ale też nie ma co tego rozpamiętywać. Nie musimy się kochać na siłę. Po zrobieniu specjalizacji rozstaliśmy się, czego z perspektywy czasu nie żałuję.

To jest w rzeczy samej fascynujące, jaki ty sprawiasz ludziom kłopot, że tak powiem, poznawczy, bo z jednej strony jesteś znakomitym lekarzem, udzielającym się także w mediach, znanym toksykologiem, a z drugiej - bardzo ekstrawagancką per-

soną. Myślę, że sporo osób nie umie tego połączyć w jedno.

Ale dlaczego miałbym być taki jak wszyscy? Dlaczego miałbym się dostosować do powszechnych wyobrażeń? Myślę, że wielobarwność jest wspaniała, różnorodność jest wspaniała, bo wszystko to czyni świat bardziej interesującym. Gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, byłoby po prostu strasznie nudno.

Polska uchodzi za bardzo homofobiczny kraj. Odczuwasz to czy nie?

Powiem tak: Polska to jedno, a Poznań to drugie. Z pewnością jest wiele miejsc w kraju, w których panuje homofobia, ale w naszym mieście jest inaczej. Mamy w sobie więcej wolności, swobody i otwartości. Myślę, że powie ci to w Poznaniu każdy, a ja jestem na to żywym dowodem.

Swoje występy na obcasach sprowadzasz zwykle do żartu, a ja uważam, że to jest coś więcej niż żart. Myślę, że twoja postawa życiowa wymaga dużej odwagi i ma przy okazji ogromny walor edukacyjny. Myślałeś tak kiedyś o tym?

Może rzeczywiście to przełamanie schematu pokazuje innym, że można, że nie trzeba się bać, że warto być na sto procent sobą. Jeśli tak, to się cieszę. Ale jak już ci mówiłem, nie mam żadnej ukrytej agendy, a moje małe ekscesy wynikają chyba z niezrealizowanych marzeń artystycznych, bo kiedyś, jeszcze w szkole, marzyłem, żeby zostać aktorem. Pojechałem nawet z rodzinnego Kalisza do Szkoły Filmowej w Łodzi na konsultacje, ale tam się okazało, że to nie dla mnie.

Dlaczego?

Tak uznała komisja, przed którą recytowałem wiersz Herberta. Kiedy skończyłem, usłyszałem polecenie, żebym ich tym wierszem teraz obraził - takie zadanie aktorskie. Nie bardzo mi to chyba wyszło, bo generalnie nie jestem dobry w obrażaniu, a już zupełnie pograżył mnie śpiew. Oni na to, że dziękują, a ja, dotknięty, że nie poznali się na moim wielkim talencie, opuściłem Łódź pogrążony w smutku. Wasza strata - pomyślałem - i zostałem lekarzem.

Odgrywającym po godzinach teatr jednego aktora.

Ze spalonego teatru.

Szpilki traktujesz w kategoriach drag czy jest w tym coś więcej?

Jeśli pytasz, czy czuję się kobietą, uprzejmie informuję, że nie. Nigdy. Nie ubieram się na co dzień w damskie ciuchy, nie budzę się rano z potrzebą włożenia sukienki. To zupełnie nie to. Moje przebieranki mają raczej charakter weekendowo-incydentalno-imprezowy. W ty-

DR ERYK MATUSZKIEWICZ

- lekarz toksykolog, wykładowca akademicki. Mieszka i pracuje w Poznaniu

godniu, jak widzisz, noszę spodnie i T-shirt, a do pracy zamiast krawata muchę.

RuPaul mówi, że „człowiek rodzi się nago, a reszta to drag”.

I tego bym się trzymał.

Definiowałeś się kiedyś?

Definiuję się jako gej. Kropka. A domowe pokazy mody organizowałem jeszcze z kasetowym magnetofonem Grundig. Bardzo mnie to bawiło, mamę – trochę, ojca chyba mniej. Patrzył na tego swojego jedynaka i był załamany, że nie potrafię tak jak on wywiercić dziury w ścianie. Mówił, że mam drewniane palce i nie poradzę sobie przez to w życiu.

A tu niespodzianka.

Jakoś radę dałem i z rodzicami mamy bardzo dobre relacje.

Wychuchany syneczek?

Owszem, ale też bawiący się dużo na podwórku naszej odrapanej kaliskiej kamienicy. Grałem oczywiście w gumę i skakankę. Wiadomo.

Skąd medycyna?

Wymyśliliśmy razem z koleżanką jeszcze z podstawówki, że skoro lubimy biologię, to pójdziemy razem na medycynę (już po tym, jak moja aktorska kariera legła w gruzach), co nie było, jak się okazało, wcale takie proste. Zdawałem na medycynę cztery razy. Pierwszy raz była to sromotna porażka, musiałem nadrobić dużo materiału. Za drugim razem było już znacznie lepiej, ale nie wystarczająco. Za trzecim zabrakło mi jednego punktu. Za czwartym mnie przyjęli.

A co robiłeś w tym czasie, kiedy cię nie przyjmowali?

Ukończyłem Wydział Biologii Uniwersyte- tu im. Adama Mickiewicza.

Warto było tak się na tę medycynę pchać?

Bardzo, choć dwa pierwsze lata są takie, że kontaktu z pacjentem właściwie nie ma. Ale kiedy zaczęły się praktyki, zrozumiałem, że to jest dla mnie – kontakt z ludźmi okazał się decydujący.

Rodzice byli dumni?

Jasne. Lekarz w rodzinie to skarb. Nawet na szpilkach.

Dlaczego wybrałeś toksykologię?

Kiedy się okazało, że po zrobieniu pierwszej specjalizacji nie ma dla mnie miejsca na internie, zapukałem do kolegów na toksykologię i zapytałem, czy kogoś potrzebują. Okazało się, że tak. Nie do końca wiedziałem wtedy, z czym to się je, a dzisiaj mijają kolej-

ne lata i bardzo dobrze mi się tam pracuje. Mamy bardzo fajny zespół ludzi, wśród których mogę być sobą. Z ich strony nigdy nie spotkało mnie nic nieprzyjemnego.

Skąd Doktor Toxa, od toksykologii?

Tak mnie nazwały nasze wspólne koleżanki.

Tak też, słyszałem, nazywają cię studenci Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, którzy nieustannie wręczają ci w podzięce dyplomy.

Otrzymywany od studentów od kilku już lat dyplom uznania dla jednego z najlepszych wykładowców to jedna z najmilszych rzeczy, jakie mogą spotkać nauczyciela, bo znaczy, że przyszli lekarze uznali czas spędzony ze mną za niezmarowany. Jest to dodatkowo dowód studenckiej sympatii. Czego więcej chcesz? Taki dyplom to wielkie doładowanie energetyczne, napęd i poczucie sensu wykonywanej roboty, która, wiadomo, nie zawsze jest przyjemna.

Oprócz pracy w szpitalu i na uczelni jeździsz także karetką, czego większość lekarzy nienawidzi. Dlaczego to robisz?

Śmieję się, że pogotowie to mój kolejny fetysz, zastrzyk adrenaliny, a prawda jest taka, że to praca, która uczy decyzyjności, nie pozwala

Jestem dla wielu ludzi
dziwadłem? *Nie rwę z tego
powodu włosów z głowy*

na rutynę i trzyma człowieka przy ziemi. Daje mi też zupełnie inną perspektywę niż ta szpitalna czy ta z prywatnego gabinetu, gdzie również przyjmuję. Mam więc zawodowo pełny wachlarz doświadczeń, choć w ostatnim czasie trochę ograniczyłem tę aktywność.

I gdzie w tym wszystkim czas na sukni przywdziewanie?

Czas dla siebie musi być, choć odrobina. Inaczej nie da się zdrowo funkcjonować. Teraz na przykład siedzimy u mnie w niedzielne, słoneczne popołudnie i pijemy kawę (naturalnie bez cukru, bo my w Poznaniu jesteśmy oszczędni). Potem mam zaplanowany obiad z przyjacielem i kino. Nie jest źle.

Kiedy zrobiłeś coming out?

Pytanie, czy on w ogóle był. Chyba nigdy nie musiałem robić coming outu, bo od razu wiadomo, że jestem gejem. Myślę, że miałem raczej coming out wewnętrzny, kiedy sam sobie uświadomiłem, że nie będę miał żony i dzieci, tylko partnera, a może kiedyś męża. To był długi proces, bo wychowywałem się

w religijnej rodzinie katolickiej – jeździłem na oazy, śpiewałem psalmy i tak dalej.

Co z tą młodzieńczą religijnością stało się potem?

Ciążyła mi przez długie lata. Myślałem, że homoseksualność to grzech, coś złego, że czeka mnie wieczne potępienie i Królestwa Niebieskiego nie dostąpię. Spowiadałem się z myśli kosmatych i dostawałem pokutę w postaci ćwiczeń fizycznych, które myśli me od mężczyzn odciągnąć miały. Skutek jednak był mizerny, a ja musiałem ostatecznie zdecydować, czy iść w prawo, czy w lewo. Poszedłem w lewo.

I?

I poczułem wielką ulgę. Zniknęło napięcie, zniknęło poczucie winy, zniknął ciągły dyskomfort. Teraz jest dobrze. Jestem szczęśliwy.

Pamiętasz pierwsze wyjście w szpilkach na miasto?

To było gdzieś na przełomie wieków. Poszedłem wtedy pierwszy raz do nieistniejącego już w Poznaniu klubu gejowskiego Andreas. Obcas był niewysoki, futro syntetyczne oraz torebka – złota a skromna.

A do niegejowskiego miejsca?

Chyba Bóg mi rozum odebrał, bo po jakimś pokazie w Starym Browarze poszliśmy ze znajomymi do bardzo heteronormatywnego klubu, ale okazało się, że strach miał wielkie oczy, i bawiliśmy się świetnie.

Gdybyś dzisiaj pojawił się na premierze w cywilu, wszyscy by pytali, co się stało.

Dlatego zawsze, przedpremierowo, obmyślam nowe kreacje. To daje mi wielką frajdę. Podobnie jest co roku, gdy urządzam w Poznaniu wielkie Rainbow Party. Kreacji musi być wtedy kilka – na powitanie gości, o północy i na koniec. Trzeba trzymać fason.

Myślisz, że twoja barwność i ekscentryczność wpływają na to, że jesteś singlem?

Myślę, że tak. Myślę, że dla wielu ludzi jestem dziwadłem, jestem zbyt przegięty, zbyt przerysowany, zbyt taki i siaki. To jest cena za bycie sobą. Ale nie rwę z tego powodu włosów z głowy, nie popadam w czarną rozpacz, nie piję samotnie wina pograżony w bólu istnienia. Mam mnóstwo przyjaciół, prowadzę intensywne życie towarzyskie. Jak widzisz, mój drogi, pełna afirmacja życia! ♦



MIKE URBANIAK „Inny Poznań.

Rozmowy z osobami LGBT+”

Wydawnictwo Miejskie Poznania,

premiera 27 czerwca podczas Poznań

Pride Week

Czerwiec, duma i ideologia

A N E
P I Ź L

Jakiś czas temu w zakładzie fryzjerskim w Warszawie usłyszałam pytanie, o co chodzi z tym programem LGBT+. Czy rzeczywiście rząd daje nam jakieś dopłaty – na wzór 500+ i Mieszkanie Plus? To nawet urocze, że ktoś w dzisiejszej Polsce pomyślał, iż nieheteronormatywnym ludziom też coś można dać, zamiast zabrać. Sądzę jednak, że gdyby powstał program LGBT+, byłyby to dopłaty do szaf, żeby nikt z nas nie wyściubił z nich nosa. Dopłat jednak na razie nie ma, a szafy coraz bardziej pustoszeją.

To oczywiście – zdaniem władzy – efekt „promocji LGBT”. I jakkolwiek dziwnie brzmi ta „promocja” (szczególnie gdy postrzegają ją w nurcie „trzecia sztuka gratis” lub „przejście do następnej klasy w szkole”), to nie jest to w tym kontekście słowo zupełnie pozbawione sensu. Promowanie praw człowieka powoduje, że coraz więcej osób upomina się o wykluczonych. Promowanie języka inkluzywnego sprawia, że więcej z nas waży słowa i obraca je chwilę na języku, zanim nimi w kogoś rzuci. Promocja LGBT, czyli popularyzowanie wolności wyboru w zakresie modelu rodziny, ról genderowych i własnej ekspresji płciowej, daje odwagę do bycia sobą. Od lat promuję wolność do przeżywania płci i obserwuję coś, co władza też przecież musi widzieć. Zachęcanie do kwestionowania oczekiwań przypisanych do gender inspirowane jest też do podważania innych opresyjnych konwencji. A to już grozi samodzielnym myśleniem. Słusznie się więc ta władza boi.

A boi się pewnie szczególnie w czerwcu, gdy przez cały kraj maszerują ludzie LGBT+ pod tęczową flagą i z hasłem DUMY na plakatach. I ta DUMA też wielu kłuje w oczy. Bo z czego tu być dumnym? – pytają. Co to za osiągnięcie być gejem? Ciekawe, że ten zarzut podnoszą nierzadko osoby dumne z bycia Polakami, choć to też niewątpliwie żadne osobiste osiągnięcie. W tęczowej dumie nie chodzi jednak o zasługi. Słownik podpowiada, że duma (obok określenia na rosyjski parlament i utwór epicki z motywami balladowymi) to w pierwszym znaczeniu „poczucie własnej godności”. To niezgoda na wstyd, na spuszczenie wzroku, na założenie czapki niewidki. Niezgoda na rolę ofiary. Bo program dopłat LGBT+ obejmowałby nie tylko szczelne szafy, ale też szafy na tyle przestronne, żeby zmieścił się w nich krzyż do dźwigania. Albo przynajmniej duża kula u nogi. Nie od dziś wiadomo, że w Polsce trzeba cierpieć. I jeśli wpiszesz się w to cierpienie, to jeszcze społeczeństwo cię przytuli. Transpłciowy dzieciak może okazjonalnie liczyć na współczucie, jeśli przyzna, że urodził się w złym ciele, że potrzebuje pomocy medycznej i chce się dostosować do normy. A w nowym ciele obiecuje wmieszać się w tłum. Jeśli jednak w procesie tranzycji okaże się niepokorny i zdecyduje się np. zatrzymać w połowie, cieszyć zmianą, eksperymentować z nieoczywistym wyglądem i przeżywać płęć w awangardzie – to naraz przychylność społeczeństwa się kończy. Nie taki przecież był układ.



Transpłciowość miała być jedynie przejściem z jednej szuflady do drugiej, a nie wyjściem z tej komody w ogóle.

I przed tym przemeblowaniem władza słusznie drży ze strachu. Wrogiem numer jeden jest dziś „ideologia LGBT” – i choć samo słowo „ideologia” zdecydowanie nie jest celne, nie jest też przeciwieństwo zupełnie pozbawione sensu. Pod hasłem „LGBT+” są oczywiście przede wszystkim konkretni ludzie, a odwracanie uwagi od tego faktu jest zbrodniczą próbą dehumanizacji. Ale powiedzmy wprost, że LGBT to nie tylko różnorodni ludzie, ale też ruch, który ma swoje jasno określone postulaty. I te postulaty z całą pewnością są władzy nie na rękę. LGBT mówi, że ludzie są równi. Że nikt w związku nie musi nosić spodni. Płeć nie jest przypisana raz na zawsze. Twoje ciało jest twoje. Rodzina opiera się na miłości. Masz prawo do samostanowienia. Filozofia LGBT rozszczelnia rolę płciowe, więc także cały patriarchy. I tego właśnie boi się władza.

Program dopłat LGBT+
obejmowałby nie tylko szczelne
szafy, ale też szafy na tyle
przestronne, *żeby zmieścił się*
w nich krzyż do dźwigania

Przyznanie, że LGBT+ to ludzie, ale LGBT to też ruch, który ma postulaty i idee, stawia mnie na fatalnej pozycji. Jest bardziej niż pewne, że jeszcze dzisiaj zgłosi się do mnie ktoś z oskarżeniem, że wkładam homofobom broń w rękę. Szkopuł w tym, że przeciętny homofob i tak traktuje słowa bez kontekstu, więc szkoda mi życia, by nie mówić, co myślę. A myślę, że filozofia LGBT+ odbiera władzy łatwość rządzenia. Ludzie, którzy nie zgadzają się, by siedzieć beczynnie w przypisanych im społecznie rolach, wyjdą na ulice protestować w każdej słusznej sprawie – nie tylko tej dotyczącej płci i seksualności. Będą ramię w ramię walczyć o prawa osób z niepełnosprawnościami, szacunek dla osób uchodźczych i wolne sądy. LGBT to głos za wolnością i równością. Obywatele i obywatelki LGBT+ są więc władzy wyjątkowo nie na rękę. Transy, geje i lesbijki to nie jest temat zastępczy ani wydumany wróg. Dla totalitarnego władzy LGBT+ to wróg jak najbardziej realny. Taki, który ma szansę obalić opresyjny system, i to z piórami w dupie. ●

Ane Piżl (ona, on) – edukatorka, działa na rzecz równości i tolerancji, na Instagramie prowadzi profil edukacyjny @ane_ratownica

GDY CZUJESZ, ŻE MOŻESZ ŻYĆ LEPIEJ



Polecam

JUSTYNA SZYĆ-NAGŁOWSKA
autorka podcastów o świadomym życiu

wysokieobcasy.pl/zyclepiej